



KWIECIEŃ 1936

KRAKÓW

ZESZYT 4

Treść zeszytu.

	Str.
Walka o nowego człowieka — H. Witkowska	97
Rak a homeopatja — M. Wiktor	100
Indywidualizacja zwierząt — K. Chodkiewicz	103
Wstęp w światy nadzmysłowe (**) — J. A. S.	106
Rubin — M. Florkowa	111
O sugestji myślowej — Dr. Juljan Ochorowicz	115
„W krainie bogów, ludzi i zwierząt“ — W. Loga	121
Po tamtej stronie (nowela) — M. Florkowa	124

Komunikaty redakcji i administracji.

Prośba nasza o podawanie adresów swych znajomych, zainteresowanych okultyzmem, została przyjęta przez ogół Czytelników z wielką życzliwością. Serdecznie dziękujemy za nadesłane adresy. Grono czytelników Lotosu powiększyło się znowu, a nasi Przyjaciele stali się tem samym współtwórcami idei, jaką reprezentuje Lotos. Oczekujemy od naszych Sympatyków dalszej współpracy w tym kierunku i zgóry za wszelkie trudy ślemy gorące „Bóg zapłać“.

Na liczne zapytania co do ukazania się dalszego ciągu Zielnika komunikujemy, że troską redakcji będzie przyspieszyć — mimo trudności od nas niezależnych — tę pracę tak, aby jeszcze w ciągu wiosny druga jej część znalazła się w rękach abonentów. Całość wyjdzie w ciągu b. roku. Cena całości wynosić będzie dla abonentów około 10 zł. Atlas ziół w naturalnych kolorach będzie można później nabywać osobno. Kolorowych tablic nie umieszczamy w tekście, bo podniosłoby to cenę conajmniej trzykrotnie. Narazie — na podstawie „Kalendarza zielarskiego“, zamieszczonego w zeszycie I — należy zbierać wiosenne zioła, które naogół są znane nieomal wszystkim, i suszyć je według podanych tamże wskazówek.

Następny dodatek książkowy do Lotosu wyjdzie prawdopodobnie jeszcze przed wakacjami.

Otrzymujemy liczne i b. różnorodne życzenia od naszych Czytelników w kwestji omawiania na łamach Lotosu tematów, które ich interesują. Jesteśmy w dość trudnej sytuacji, bo szczupłość miesięcznika nie pozwala na drukowanie wszystkiego, co leży w tece redakcyjnej. Prosimy o cierpliwość i zaufanie: czasem obejmie sobą Lotos wszelkie dziedziny życia duchowego i stanie się prawdziwym przewodnikiem szukających światła. Obecnie jako nowy dział wprowadzamy cykl artykułów z medycyny „hermetycznej“. Na „pierwszy ogień“ idzie najtraficniejsza „zmora“ czasów obecnych: choroba raka, która z każdym rokiem żeruje coraz silniej na organizmach ludzkich.

Wszystkim naszym Czytelnikom i Przyjaciołom Lotosu zasyłamy tą drogą serdeczne życzenia, aby Święto Zmartwychwstania stało się dla nas wszystkich dniem prawdziwej radości, a zarazem duchowego postępu i zrozumienia wielkiej prawdy o zwycięstwie Ducha nad Materją.

Redakcja i administracja.

WARUNKI PRENUMERATY:

Bez dodatku:	rocznie	10.— zł w Ameryce półn. — 3 dolary
	półrocznie	5.50 „
	kwartalnie	3.— „
	miesięcznie	1.— „

Konto P. K. O. 409.940.

Adres Redakcji: Kraków, ul. Grodzka 58, m. 5.

Telefon Nr. 133.62.

*„Porwać ogień strzeżony,
zanieść w ojczyste strony
to cel . . .“*

St. Wyspiański

Prof. Helena Witkowska (Kraków)

Walka o nowego człowieka

„Pedagogja jest nauką rozeznawania dusz w ciałach na ten świat przychodzących.“
Słowacki.

Wielu współczesnych pedagogów zdaje sobie sprawę z doniosłości zadań, jakie bieżąca chwila dziejowa nakłada na wychowawców i nauczycieli. Oto kilka zdań zasłyszanych na VI kongresie międzynarodowym wychowania moralnego, jaki odbył się w Krakowie w 1934 roku:

„Pokolenie nasze przeżywa ekonomiczny, polityczny i moralny kryzys, którego kresu ani rozwiązania niepodobna przewidzieć.“

„Światu dzisiejszemu brak duszy, stąd męczy się i umiera.“

„Cechą charakterystyczną naszych czasów jest przewaga techniki nad etyką, zabiegów materialnych nad zabiegami moralnymi — wynika stąd zwichnięcie równowagi społecznej.“

„Wielu ludziom nie obce są normy postępowania, obowiązujące w życiu zbiorowym, ale się do nich nie stosują i często dlatego cierpią — rozzdźwięki te są źródłem wewnętrznych zaburzeń, konfliktów... brak im woli, siły“...

„Stoi przed nami zagadnienie zorganizowania chaosu, w jakim żyjemy, stworzenia nowego porządku, w którym wszystkie siły ludzkości mogłyby się w pełni przejawić, nie wchodząc ze sobą w zatargi i nie niszcząc się wzajemnie. Zagadnienie to pierwszorzędnej wagi i miary... stawić nam wypada czoło trudnościom olbrzymim, podjąć zadanie budowania ustroju, jakiego w przybliżeniu nawet nie jesteśmy dziś w stanie wyobrazić sobie ani określić... którego zarysy występują mglisto i niewyraźnie w wymiarach szerokich, uniwersalnych, obejmujących całą ludzkość, wszystkie grupy społeczne w zespolonem współdziałaniu dla wspólnych celów.“

„Społeczeństwo w swoim rozwoju dziejowym doszło do stanu, w którym męczy się, cierpi, szarpie, w którym dłużej żyć niepodobna — tkwiące w niem wielkie, potencjalne siły czekają

na hasło do podjęcia dzieła koniecznej przebudowy... Siły te zbudzić trzeba, rozwinąć, zorganizować, nadać im rozpęd i kierunek... Zadanie to nauczycielom i wychowawcom przypada w udziale“...

Nasuwa się tu znaczenie wiedzy psychicznej i jej wartość dla pedagogii współczesnej. Siły, do których odwołują się referenci kongresu, to nie siły materialne: militarne, gospodarcze ani techniczne, bo właśnie ich niepomiaralny rozrost w stosunku do napięcia sił duchowych wprowadził ludzkość w stan niepokoju i niebezpieczeństwa, w jakim się obecnie znajduje.

Siły to psychiczne, wewnętrzne, boże, „święte iskry“ — nieraz przygaszone i ukryte, tkwią one jednak w każdej ludzkiej istocie — odszukać je można, rozniecić, rozpałcić.¹⁾ Wychowanie jest niczem innym jak wyzwalaniem z ludzi boskiego pierwiastka. Wychowawca, patrzący w przyszłość, urabiać ma, zgoła różny od współczesnego, nowy typ człowieka, kształcić nie silnych, do gwałtownej i podstępnej walki o byt przystosowanych ludzi, ale rozwijać właściwości, które zapewnią zwycięstwo przy użyciu zgoła innych środków, nie materialnych, lecz duchowych.

Do programów szkolnych, do przedmiotów i metod nauczania dotrzeć niebawem winny przełomy, dokonywujące się we wszystkich niemal dziedzinach poznania. Bankrutuje wiedza materialistyczna, upada racjonalizm, chwicie się wiele twierdzeń uznawanych dotąd za pewne i niezmiennie. W życiu codziennym, na każdym kroku nasuwają się zjawiska nieuchwytnie dla naszych przyrządów i rozumowań, stajemy wobec zagadnień, których naukowo, w dzisiejszym słowa tego znaczeniu, rozwiązać niepodobna — natrafiamy na zapory, przeszkody, granice, do przekroczenia których szukać należy nowych środków, nowych sił i metod... Dokoła nas jest wiele światów tajemniczych i nieznanych — nic o nich nie wiemy, podobnie jak ślepi nie wiedzą o kształtach i barwach a głusi o dźwiękach. Nie odłoni ich rąbka doświadczenie zmysłowe ani rozumowanie logiczne — kto dotrzeć doń pragnie, musi pogłębić i rozwinąć w sobie życie wewnętrzne, zdobyć zmysł duchowy, poznać intuicyjne, mało dziś dostępne dla wielu ludzi. „Jeno intuicją przeniesić się możemy w jądro danej rzeczy i poznać jej istotę — twierdzi filozof Bergson — analiza zawodzi.“

W każdym człowieku tkwią zarody organów duchowego poznania,²⁾ wychowawcy i nauczyciele winni je rozwijać, wyrabiać w uczniach swych upodobanie do życia wewnętrznego. Młodzież tak wychowana wyzwoli się z pod panowania rzeczy materialnych, narzuci im swoją prze wagę.

Nader cenne są tu poglądy i uwagi Dra Juljana Ochorowicza. Odnosi się on krytycznie do współczesnej mu pedagogii i przesadnych pojęć o wartości nauk. Życie zbyt czynne wyjaławia duszę; nie trzeba żałować czasu na życie wewnętrzne, na zastanawianie się nad najważniejszymi zagadnieniami bytu. Nawołuje on nauczycieli do pracy nad kształceniem charakterów, umiejętność wszczepiania zasad etycznych w serca

¹⁾ Na tem stanowisku stoi „Międzynarodowa liga nowego wychowania“.

²⁾ Zobacz także K. Chodkiewicza: „Wiedza duchowa a wychowanie“ Cena 0.30 zł (przyp. wyd.).

ludzkie nazywa etoplastją — stanie się ona czasem nauką najważniejszą, od jej rozwoju zależy postęp i szczęśliwość rodu ludzkiego.

Pedagogia współczesna, podobnie jak inne dziedziny wiedzy, przechodzi w naszych czasach doniosłe przeobrażenia, szuka dróg i środków do wychowania lepszego człowieka, który przetworzy stosunki i instytucje i „królestwo boże” sprowadzi na ziemię. Czyli marzeniem to jest tylko i utopia? czy też w rozbłąskujących tu i ówdzie światelkach uchwycić można wątek prowadzący do powyższego celu?

Może wątek ów dałby się wysnuć z dziejów wiedzy ludzkiej. Stwierdza ona, że człowiek powoli, stopniowo dochodzi do poznania różnych kategorii zjawisk, sformułowania praw nimi rządzących, opanowania sił długo nieuchwytnych, przystosowania ich do swoich potrzeb i celów. Poznał on i ujarzmił potęgi tkwiące w poszumie wichrów, w rwącym biegu wód, w elektryczności i magnetyzmie — analiza spektralna odsłoniła mu tajemnice gwiazd, promienie Roentgena wnętrza ciał ziemskich — przez umiejętną hodowlę zdołał uszlachetnić wiele gatunków roślin i zwierząt, upiększyć ich kształty, barwy, wonie, wlać w nie soczystość i słodycz, udelikatnić ich tkanki, rozwinąć utajone ich właściwości.

Czyżby pokrewne procesy nie mogły zachodzić w nieskończenie zawilszej dziedzinie kształtowania dusz ludzkich, urabiania ich wedle ideałów etyczno-społecznych, których miraż od wieków niepokoją umysły, występują w powracających wciąż utopiach, programach, systemach, jakoby w nieprzepartem dążeniu do wcielenia się w życie, przeniknięcia sfery ludzkich spraw i stosunków. Dziedzina to nauk psychicznych. Poznanie utajonych sił i własności natury ludzkiej może uzbroić nauczycieli w broń skuteczną do zwalczania zła, opanowywania namiętności, wydobywania na widownię szlachetniejszych instynktów. Może broń owa, może środki te są nader proste,¹⁾ jak prostymi są dla nas dzisiaj techniczne przystosowania wiedzy o siłach i właściwościach przyrody? Niemniej przeto do odkrycia ich trzeba genjusza, trzeba człowieka, który sformułować potrafi cudowne zaklęcie, rozwiązujące zagadkę „rządu dusz“...

Stoimy u progu wiedzy, która w życiu i wyobrażeniach naszych dokonać może zmian zasadniczych — stoimy wobec olbrzymich potęg duchowych, które rozbudzić i wyzwolić należy, a wszelkie siły materialne będą im kiedyś poddane. Trafnie scharakteryzował to Maurycy Maeterlinck w słowach następujących: „Przed trzema wiekami poziom wiedzy naszej o elektryczności był taki, jakim jest dzisiaj poziom nauk psychicznych. Nikt nie przypuszczał, że stoimy u źródła siły wielkiej, niewyczerpanej, wszechobecnej, która miała czasem opanować świat i przekształcić materialne warunki ludzkiego życia. Siły duchowe mogą kryć w sobie podobne niespodzianki, z tą różnicą, że potęgi to i zagadki znacznie wyższej miary, dotyczą bowiem naszych wiekuistych przeznaczeń, przenikają życie całe i śmierć“...

Filozof Bergson, na jednym z posiedzeń Towarzystwa dla badań psychicznych w Paryżu, postawił następujące pytanie: „Coby było, gdyby wiedza nowożytna, zamiast poczynać od matematyki i przyrody, za punkt wyjścia postawiła sobie badanie sił duchowych, gdyby Kepler, Galileusz, Newton byli psychologami? Trudno sobie dziś wyobrazić, do jakiego stopnia

1) Jajko Krzysztofa Kolumba.

rozwoju doszłaby psychologja, podobnie jak nie wyobrażano sobie przed Galileuszem, czem będzie w przyszłości fizyka. Stosunek psychologii owej do naszej współczesnej byłby może taki, jakim jest stosunek obecnej fizyki do stanu nauki tej przed Arystotelesem. Może znaliśmy prawdy nieskończone dla nas donioślejsze od wszystkich zdobyczy nowożytnej wiedzy? Może o prawdy te dzisiaj pokusić się należy? Uchylić nam wypada bramę, za którą kryje się wiele niebezpieczeństw, przeniknąć zagadnienia najtrudniejsze, jakie kiedykolwiek niepokoiły ludzkość, stanąć oko w oko wobec niezgłębionych, otchłannych tajemnic, wobec istoty człowieka i zawziętej gry jego przeznaczeń“...

M. Wiktor (Kraków)

Rak a homeopatja

Na całym świecie rozpoczęto od dłuższego już czasu generalną ofensywę przeciwko rakowi. Zmobilizowano wszystkie środki do walki z tą coraz bardziej szerzącą się chorobą. Najtęższe głowy, najwybitniejsi uczeni, mający do dyspozycji najnowocześniejsze laboratoria i olbrzymie fundusze — pracują dziś nad zagadnieniem istoty tej choroby oraz wynalezieniem zadawalniającej metody jej leczenia.

Konieczność tej walki staje się oczywistą, gdy przeglądnijemy różne statystyki. Z wiosną 1914 roku odbył się w Londynie międzynarodowy kongres eugenetyczny, w którym wzięli udział wybitni uczeni i lekarze różnych krajów. Posługując się statystyką, wedle której w samej Anglii choroba raka rozwija się coraz potężniej, gdyż przeszło o 600% z pokolenia na pokolenie, obliczono, że za lat 315 zejdzie ze świata ostatni Anglik, zdławiony przez tę chorobę. W Niemczech i Austrii umiera każda ósma kobieta i każdy dwunasty mężczyzna na raka, czyli ludność jest tam przez tę chorobę dziesiątkowana. Według prof. Sauerbrucha umiera rocznie w Europie 500.000 ludzi na raka, z czego na Niemcy przypada 100—150.000. Stosunkowo najwięcej ludzi umiera na raka w Szwajcarii i Danji; na milion mieszkańców umiera na tę chorobę w Szwajcarii rocznie 1300 osób. U Azjatów i ludów pierwotniejszych choroba ta jest bardzo rzadka. Wszystkie zwierzęta bezkręgowce, które posiadają największą zdolność regeneracyjną, nie wykazują żadnych złośliwych nowotworów. Zwierzęta kręgowce mogą już na nie chorować, lecz najpodatniejszym jest człowiek. A więc skłonność do raka idzie w parze ze zmniejszaniem się zdolności regeneracyjnych. Donośną rolę odgrywają tu warunki życiowe. I tak murzyni w Ameryce zapadają procentowo dwa razy częściej na raka, niż w Afryce. Wśród mieszkańców dużych miast spotykamy go znacznie częściej, niż wśród ludności wiejskiej. To też nieraz już nazwano raka »chorobą cywilizacji i kultury«.

Wykazały to zresztą wspomniane już statystyki, że im większa w danym kraju cywilizacja, a raczej, na im wyższym szczeblu dobrobytu materialnego stoi dany naród, tem więcej popełnia „grzechów przeciwko przyrodzie“ i tem większa jest skłonność do choroby raka. Te same statystyki uczą nas także, że rak rozwija się w stosunku prostym do zużycia mięsa, kawy i alkoholu.

Prawie wszyscy lekarze kolonialni twierdzą, iż np. wśród murzynów afrykańskich należy rak do największych rzadkości. Natomiast te ludy prymitywne, które przyjęły sposób życia białych ras, wykazują taką samą podatność na raka, jak Europejczycy. Podobnie ma się rzecz także ze zwierzętami. Im ściślej współżycie zwierzęcia z człowiekiem cywilizowanym, tem większa u niego skłonność do tej choroby.

Jakież środkami dysponuje dzisiejsza medycyna oficjalna w walce z tym niebezpiecznym wrogiem?

Leczy się raka przedewszystkiem lokalnie, t. zn. działa się na te miejsca, w których zachodzą widoczne, bezpośrednie zmiany chorobowe. Wchodzą tu w grę przedewszystkiem dwa sposoby: radykalne usunięcie schorzałych części organizmu drogą operacyjną — i niszczenie ich odpowiednimi promieniami (radjum, mesotorium i promienie Roentgena). Okazuje się jednak, że sposoby te w gruncie rzeczy zawodzą. Jest to fakt, który otwarcie przyznają najwybitniejsi przedstawiciele świata medycznego. Jeśli już nawiąże się obecnie niektóre formy raka można — w odpowiednio wczesnem stadium — uważać za mniej więcej uleczalne, to jednakże w walce przeciwko całości kształtowi różnych form tej choroby jesteśmy jeszcze ciągle prawie że bezbronni. W r. 1923 stwierdził Dr. Otto Strauss („Medizinische Klinik“ Nr. 21), iż najmniej w 60% wypadków jesteśmy zgóry skazani na niepowodzenie. Tylko w 1/6 wypadków istnieją szanse na względne wyleczenie chorego.

Wielkie nadzieje przywiązywano swego czasu do naświetlań, lecz i tu wyniki okazały się dość skromne. Nasuwa się w praktyce przedewszystkiem trudność dawkowania promieni. Zbyt małe dawkowanie nie działa na głębsze warstwy tkanek nowotworowych, zaś za silne niszczy również zdrową tkankę. To też medycyna dzisiejsza skoncentrowała wszelkie swe dążenia przedewszystkiem na znalezieniu odpowiedniej terapii raka, a względnie na jej ulepszeniu i rozszerzeniu. Stąd też owa mnogość różnych proponowanych nowych metod i środków, które jednakże okazują się, jak dotychczas, krótkotrwałymi efemerydami, kończącymi szybko swój żywot i swą sławę, rozdmuchaną sztuczną reklamą.

W ostatnich czasach zaznacza się poważny zwrot w naszych poglądach na istotę raka i jego terapię. Medycyna dochodzi pomału do wniosku, iż rak jest właściwie schorzeniem o gólnem organizmie, a nie, jak dotąd powszechnie utrzymywano, miejscową zmianą patologiczną tkanek. Rozróżnia się już obecnie między t. zw. miejscową a ogólną dyspozycją rakową, względnie schorzeniem. Wynika stąd, iż leczenie wyłącznie lokalne raka byłoby w zasadzie skazane na niepowodzenie, gdyż nie usuwałoby ono właściwej, ogólnej przyczyny, conajwyżej, w najlepszym wypadku, tłumiąc jej widoczne następstwa.

W ten sposób zbliżyła się znowu nasza usankcjonowana medycyna do teoryj, tak przez nią pogardzanych, różnych „przyrodolekarzy“, zielarzy, „dziko“ działających praktyków, a przedewszystkiem homeopatów, którzy już od dawien dawna „upierali się“ przy tem, iż rak jest chorobą konstytucjonalną, że, — mówiąc popularnie — „siedzi we krwi“.

Temsamem doszliśmy do właściwej treści niniejszego artykułu, tj. do krótkiego przedstawienia poglądów i sposobów leczenia raka przez „niecechową“ medycynę, przedewszystkiem przez homeopatię i jej poboczne gałęzie. Takie traktowanie sprawy musi oczywiście wywołać namiętny sprzeciw wśród leka-

rzy „cechowych“, przedstawiciele medycyny urzędowej. Ich nietolerancja i namiętna opozycja wobec laików-praktyków, wobec „zielarzy“, homeopatów i innych „buntowników“ tradycyjnie uświęconych i sankcjonowanych metod i kierunków medycyny uniwersyteckiej, nie wpływa bynajmniej na doniosłe praktyczne wyniki owych „outsiderów“. A resztę, tj. to, czy także pod względem teoretycznym mają rację owi „znachorzy“, okaże przyszłość. Faktem jest, że homeopaci, „przyrodolekarze“ i t. p. leczą świetnie także i raka; że pod wpływem ich metod i teorii istnieją już zagranicą lecznice dla bezoperacyjnej terapii raka, stosujące naświetlania radowe, czy rentgeniczne; oraz, że medycyna urzędowa w niejednym wypadku zbliża się również do ich założeń teoretycznych.

Na jedno chcielibyśmy jeszcze zwrócić uwagę czytelnika, nim przejdziemy do właściwego naszego tematu. Żaden przedstawiciel medycyny urzędowej nie potrafi dać pacjentowi gwarancji absolutnej zupełnego wyleczenia. Nie można więc takich żądań stawiać homeopatii! Jeśli nawet utrzymuje ona, że każda choroba jest uleczalna, to nie znaczy to, że każdy chory w każdym stadium choroby jest uleczalny. Takich wymagań nie można stawiać wobec żadnej ludzkiej sztuki i umiejętności.

Jest zupełnie zrozumiałe, że im wcześniej podda się chory leczeniu wypróbowanymi środkami wewnętrznymi i odpowiednim zewnętrznym procedurom, tem większe będą szanse zadawalniającego, trwałego działania leczniczego. Lecz także wiek pacjenta, jego konstytucja, ogólny stan odżywiania, wrodzony zasób sił życiowych i odporności, jego zdolność reagowania i t. p., odgrywają doniosłą rolę. To też tylko szarlatan może każdemu choremu obiecywać bezwzględne wyleczenie! — Z drugiej strony byłoby niesprawiedliwie i niehumanitarnie ukrywać i przemilczać środki i sposoby, które — jak to wykazują praktyczne wyniki — niejednokrotnie okazują się skuteczne w t. zw. nieuleczalnych (według ludzkiego mniemania) wypadkach.

Dziś, gdy metody operacyjne i naświetlań osiągnęły kres swej możliwości i gdy dalsze, istotne polepszenie osiąganych tą drogą wyników wydaje się mało prawdopodobne, należy ze szczególną uwagą zbadać nowe możliwości i inne sposoby leczenia, choćby nawet pochodzące od „outsiderów“ medycyny oficjalnej, czy zgola laików. Lecz o wyniku takiego zbadania owych metod powinna zadecydować praktyka, a nie teoria. (C. d. n.)

Nad czem w sobie panujemy, nad tem panujemy we wszystkich, którzy do nas się zbliżają. Dokota sprawiedliwego tworzy się wielki duch pokoju, ubezwładniający zwolna strzały złego. Cierpienia moralne, dosięgające człowieka, nie należą już do niego. Jest to prawdą dostówną, że ich złośliwość tylko dopóty może nam tzy wyciskać, dopóki nie pozbedziemy się żądzzy zmuszenia naszych wrogów do płaczu. Ilekroć spojrzenia zazdrości krwawią nam serce, tylekroć jesteśmy zdolni rzucić takie same spojrzenia, ilekroć zaś zdrada nam tzy wycisnęła, tylekroć tkwiła w nas zawsze zdolność do zdrady. Duszę można zranić tylko tą bronią, której sama jeszcze nie rzuciła na stos miłości.

M. Maeterlinck.

Indywidualizacja zwierząt

Dokończenie.

W omawianych doświadczeniach spotykamy się z jeszcze jedną grupą faktów, która pozornie świadczyłaby przeciw inteligencji zwierząt, faktycznie jednak jest nowym dowodem istnienia ciała myślowego u zwierząt. Są to matematyczne wyczyny koni Kralla. Zwyczajny człowiek nawet bardzo biegły w matematyce nie potrafi w pamięci wyciągnąć 3-go pierwiastka z liczby 7-cyfrowej. Niejeden, który ukończył gimnazjum, nie potrafi tego dokazać nawet na papierze. Maeterlinck sam się zresztą do tego szczerze przyznaje. O wyciąganiu pierwiastka 4-go niema już wogóle mowy. Doświadczenie przeprowadzał dr. Haenel z Drezna.¹⁾ W nieobecności Kralla wypisał na tablicy

następujące zadanie: $\sqrt[4]{7,890.481}$. Rozwiązania nie znał, było ono wypisane na kartce i schowane w zamkniętej kopercie, którą otrzymał poprzedniego dnia od Kralla. Koń Mahomet, zobaczywszy to zadanie, natychmiast wypukał: 53. Dr. H. wyciągnął kartkę i sprawdził, że wynik jest zgodny z cyfrą wypisaną na kartce. Takich doświadczeń zrobiono cały szereg, otrzymując zdumiewające wyniki. Zwierzęta momentalnie rozwiązywały zadania, które człowiek musiał rozwiązywać rachunkiem na papierze i to trwającym nieraz od kilku do kilkunastu minut.

Czy rzecz ta jest możliwa i na czym ona polega? Kto obserwował kiedy popisy „cudownych“ rachmistrzów, zauważył zapewne, że rachmistrze ci, którzy przeprowadzają w pamięci ciężkie i trudne obliczenia matematyczne, nie wyrachowują swych wyników drogą normalnego rachunku, ale, jak sami zresztą przyznają, w i d z a okiem duszy gotowe rozwiązanie. Zatem taki rachmistrz, otrzymawszy np. do wymnożenia dwie liczby 5-cyfrowe, nie przeprowadza w pamięci żmudnych działań, tylko intuicyjnie wyczuwa gotowe rozwiązanie. Jest to zdolność paranormalna. Świat liczb jest odrębnym i bardzo ciekawym światem, w którym w jego wyższych regionach tkwią prawzory działań matematycznych. Jest to górna strefa równi myślowej i ten, kto potrafi się wznieść do tej strefy, jest albo wybitnym matematykiem, których na świecie jest bardzo mało, albo pewnego rodzaju medjum matematycznym, mogącem wglądać w tę sferę, na krótkie zresztą momenty. Wyczyny tych cudownych rachmistrzów są czasem niesamowite. Obserwowałem przed wojną jeden taki popis. Kilku techników chciało na tym popisie pogrążyć owego rachmistrza. Przynieśli ze sobą temat jakiegoś nader zawiłego zadania i wypisali go na tablicy. Rachmistrz stał przed tablicą, a technicy rozwiązywali to zadanie na papierze obok na stole. Rachmistrz po paru chwilach wypisał rozwiązanie na tablicy, zaś technicy skończyli rachować po kilkunastu minutach — wyniki nie zgadzały się. Wtedy rachmistrz z uśmiechem przejrzał elaborat techników i pokazał im miejsce, w którym zrobili błąd, dzięki czemu ich rozwiązanie było fałszywe a rachmistrza dobre.

W wypadkach tych mamy do czynienia z intuicyjnym wglądem w świat

¹⁾ Dr. Ziegler: „Die Seele des Tieres“, str. 77.

liczb przez istotę posiadającą ciało myślowe i zdolność wznoszenia się w górne strefy równi myślowej. I tę zdolność musimy przyznać również i koniom elberfeldzkim. Tak, jak fenomenalni rachmistrze, wkraczały prawdopodobnie i konie Kralla jako medalnie uzdolnione w strefy górne równi myślowej, przynosząc stamtąd gotowe rozwiązania trudnych matematycznych zadań. Inną drogą fenomenów tych nie da się wyjaśnić.

Jednym z ostatnich zarzutów, jakie podniesiono w kwestji myślących zwierząt, jest fakt, że zwierząt tych spotyka się tak mało. Odpowiemy na to, że i genjuszów między ludźmi jest mało a myślące konie czy psy są dla świata zwierząt tem, czem genjusz dla świata ludzi. Pozatem ogromnie jest trudno nauczyć zwierzęta metody wyrażania swych myśli i mało znajdziemy takich nauczycieli, którzy chcieliby się poświęcić tej żmudnej pracy i narazić potem jeszcze na inwektywy, jakie rzucano na Ostena, Kralla i p. Moekel. I dużo może takich psich i końskich talentów drzemie w duszy zwierzęcej, tylko niema ich kto wydobyć na jaw i pobudzić do życia i rozwoju. Psychologia zwierząt to temat nadzwyczaj wdzięczny, a badania i doświadczenia Ostena i Kralla otwały tę drogę dla nieograniczonych dalszych możliwości.

U nas w Polsce badania takie przeprowadzał Komandor Sadowski ze swoim psem Bimem. W „Zagadnieniach Metapsychicznych“, zesz. 13—16, str. 53, ogłoszono wynik doświadczeń z tym psem w formie protokołu. Protokół ten brzmi następująco:

„Pies z rasy buldogów bokserów, ur. 25/VII 1921 r., odznacza się tem, że niezależnie od osoby zwracającej się doń z pytaniem i zarówno w obecności swego właściciela jak i w jego nieobecności, zapomocą odpowiedniej liczby szczeknięć daje trafne rozwiązania zadawanych mu prostych zadań arytmetycznych na liczby dwucyfrowe (cztery działania arytmetyczne, podnoszenie do kwadratu i pierwiastki kwadratowe) oraz odpowiada właściwie na zapytania dotyczące znanych mu zjawisk i przedmiotów.

Liczby oznacza w ten sposób, że każdą cyfrę wyszczekuje z osobna, oddzielając pauzą dziesiątki od jednostek; na inne pytania może odpowiadać tylko „tak“ (jedno szczeknięcie), „nie“ (dwa szczeknięcia) albo „bardzo“ (trzy szczeknięcia).

P. Komandor Sadowski wyjaśnia, że rezultaty powyższe osiągnął po 4½ latach osobistej pracy nad psem, rozpoczętej przezeń, gdy pies miał 6 miesięcy (szczękanie na rozkaz otrzymał po 2 miesiącach) i że zawdzięcza je z jednej strony cierpliwości oraz metodzie nauki zastosowanej do umysłowego poziomu dziecka, z drugiej inteligencji psa (próby z innymi psami z tejże rodziny nie dały wyników).

Pokaz odbywał się w jasno oświetlonym salonie. Pies siedział na krześle. Właściciel psa — z wyjątkiem niżej zaznaczonych wypadków, gdy wychodził do innego pokoju lub stał w drzwiach — znajdował się obok psa: bądź z tyłu poza nim, bądź z boku, bądź wreszcie przed nim; pozycje te na trafność odpowiedzi nie miały wpływu.

Pokaz miał przebieg następujący:

1. Komandor S. mówi do psa „trzy“. Pies niezwłocznie szczeka trzy razy. Na komendę „cztery“ — szczeka cztery razy.
2. K. S. pokazuje psu 8 palców. Pies szczeka 8 razy.
3. K. S. prosi, aby ktokolwiek z obecnych zadał psu pytanie, na które można odpowiedzieć „tak“, „nie“ lub „bardzo“. P. Rzewuski zapytuje: „Bim! czy ja jestem kobietą?“ Pies — jak się zdaje, nie spojrzawszy na pytającego — odpowiada dwukrotnem szczeknięciem, co oznacza „nie“.
4. Ktoś z obecnych zapytuje Bima, ile ma lat. Odpowiedź brzmi: 5.
5. Obecni żądają od psa, aby wyszczekał liczbę 25. Pies parokrotnie wyszczekuje 7 nie oddzielając pauzą 2-ch (dziesiątki) od 5-ciu (jednostki), wreszcie jednak na naleganie swego pana szczeka prawidłowo 2 i 5. Liczbę 27, napisaną przez dr. Higiera i zadaną psu przez właściciela, wyszczekuje jako 9.

6. Komandor S. zadaje psu następujące pytanie: „Mam w jednej kieszeni 12 groszy, w drugiej 23; ile posiadam razem? Pies daje trafną odpowiedź: 35.

7. Jeden z uczestników zapytuje psa, ile czyni 3 i 6? Odpowiedź brzmi: 9.

8. Na zapytanie swego pana, ile jest okien w tym pokoju, pies — nie patrząc wcale na okna, do których siedzi tyłem — odpowiada trafnie: 3. Podobnie, nie oglądając się, daje trafną odpowiedź (3) na zapytanie o liczbę drzwi. Pies znajdował się w tym pokoju przez dłuższy czas, zanim się zeszedł uczestnicy.

9. Właściciel psa z a w i ą z a ł mu oczy chustką. Następnie jeden z uczestników na życzenie Komandora S. pokazuje psu kilka palców. Komandor S. — którego zdaniem pies w swych odpowiedziach kieruje się jedynie telepatycznym odczuwaniem myśli — nie wymieniając liczby pokazanych palców, żąda od psa, aby je wyszczekał. Odpowiedzi jednak przy wszystkich trzech próbach, jakich dokonano, wypadają błędnie. Natomiast po zdjęciu mu chustki pies na zapytanie, ile było, daje trafną odpowiedź: 5. Zaznaczyć należy, że wbrew swej teorii telepatycznej Komandor S. oświadcza, że zadań na pierwiastki kubiczne pies nie potrafi rozwiązywać.

10. Na zapytanie dr. Trenknera, ile ma kluczyków na karku, pies z zawiązanymi oczyma szczeka 3 razy. Kluczyków było 6; dr. Trenkner rozdzielił je palcami na dwie grupy po trzy. Komandor S. nie znał liczby kluczyków. Wszystkie następne doświadczenia odbyły się już bez zawiązywania psu oczu.

11. Dr. Higier pokazuje Komandorowi S. cztery monety tak, aby pies ich nie widział. Liczby nawet nie wymieniano. Pies na pytanie daje odpowiedź: 4.

12. Właściciel psa w towarzystwie jednego z obecnych wychodzi do innego pokoju oddzielnego korytarzem od salonu, w którym odbywał się pokaz i zamyka za sobą drzwi. P. drowa Knappe zapytuje psa: „ 2×3 ?“ Odpowiedź brzmi: 6. Ktoś inny pyta: „dwa razy dwa?“; odpowiedź: 4.

13. W tych samych warunkach, t. j. w nieobecności Komandora S. na zapytanie p. drowej Knappe: „pierwiastek z 25?“, pies daje odpowiedź: 5.

14. Dr. Higier w przedpokoju pokazuje Komandorowi S., ile ma monet w ręce. Komandor S. staje we drzwiach (znajdujących się naprzeciw psa) do salonu, w którym odbywał się pokaz i pyta: „ile?“ Pies daje trafną odpowiedź: 3.

15. Komandor S. jak poprzednio stoi we drzwiach. Dr. Trenkner pyta psa, jaki jest pierwiastek kwadratowy z 49?; pies nie odpowiada wcale, dopiero na zapytanie swego właściciela daje trafną odpowiedź: 7.

16. Ulegając życzeniu dr. Bychowskiego, Komandor S. dokonał następującej próby. Kilka osób udało się wraz z psem do osobnego pokoju, oddzielnego korytarzem od salonu, w którym odbywały się doświadczenia. Drzwi do owego pokoju znajdujące się nawprost otwartych drzwi od salonu, zamknęto. Komandorowi S., pozostającemu w salonie pośród uczestników, dr. B. pokazuje napisaną przezeń liczbę. Na dany sygnał osoby towarzyszące psu mają mu zadać pytanie „ile?“. Próby te, parokrotnie ponawiane, nie miały powodzenia.

Wobec zmęczenia psa doświadczenia zostały ukończone.“

Protokółował St. Rzewuski.

Podpisy obecnych.

Z cytowanego protokołu widzimy, że pies Bim pozostaje daleko w tyle za swym inteligentniejszym kolegą Rolfem. Z doświadczeń podanych wynika, że niektóre odpowiedzi mogą mieć tło telepatyczne — większość jednak tych odpowiedzi świadczyć się zdaje o bezsprzecznej własnej inteligencji psa.

Między magnetyzmem a hipnotyzmem różnica jest taka:

Hipnotyzować może każdy — ale nie każdego;

magnetyzować może każdego, ale nie każdy.

Dr. Juljan Ochorowicz.

Wstęp w światy nadzmysłowe

XX. Oświecenie.

(U wrót śmierci.)

Trzy szczeble ostatnie, *dharana*, *dhjana* i *samadhi*, tworzą razem, jak wiesz, „ścieżkę próby“. Na pięciu szczeblach poprzednich „przygotowywałeś się“ do tego, aby być godnym „oświecenia“. Tego oświecenia dostępowaleś właśnie w imaginacjach, inspiracjach i intuicjach. Imaginacje oświecają cię o świecie astralnym, inspiracje o myślowym, a intuicje wprowadzają cię już w światy arupa. Wiedza, jaką na tych różnych równiach zdobywałeś, jest właśnie „oświeceniem“, którem górujesz nad ludźmi zwykłymi.

Zrozumiesz sam, że podczas lat „próby“ oświecenie to nie może jeszcze przekraczać pewnych granic. Będąc dopiero „na próbie“, nie dajesz jeszcze rękąmi zupełnej, że wiedzy, nabytej podczas oświecenia, nie użyjesz w sposób błędny lub nawet szkodliwy. Taką rękąjmią będzie dopiero twoje „wtajemniczenie“. Jest tu znowu to samo, co czytałeś już w rozdziałach początkowych, gdym ci porównywał ścieżkę jogi z latami nauki jako terminatora rzemieślniczego, a potem czeladnika próbnego. Uczeń, wyzwolony na czeladnika, nie dostępował jeszcze do wszystkich naraz tajemnic zawodowych. Dopiero w miarę, jak okazywał się godnym zaufania, dopuszczał go majster do coraz dalszych tajników swego rzemiosła. Podobnież ty, jako czeladnik próbny, nie jesteś jeszcze „przyjęty“ stanowczo. Pracujesz, a mistrze cię obserwują; przyglądają się twojej pracy, twemu zachowaniu się, a przedewszystkiem twemu wnętrzu, twym uczuciom i myśłom.

Nie zapominaj o tem ani na chwilę, że w okresie „oświecenia“, a więc przez cały czas „próby“, jesteś pod dozorem nieustannym, chociaż niewidzialnym. Mistrze obserwują cię dokładniej i ściślej, niż ty to sam byś zdołał; widzą w tobie znacznie wyraźniej wszystko, niż sam ujrzyć potrafisz. Widzą wszystkie twoje postępy, ale i twoje zaniedbania, a tych jest więcej, niż sądzisz.

Wyobraź sobie człowieka, który ma kawał ziemi pod uprawę ogrodu. Pracował przez siedm lat nad wykarczowaniem jej i nad wyplewieniem chwastów, zasiewał w nią jarzyny i szczepił drzewka owocowe. Przez ten czas dochodził oczywiście do wielu doświadczeń ogrodniczych, zyskiwał pewien zasób „oświecenia“ w tej dziedzinie. Na podstawie tej wiedzy sieje dalej i sadi, spodziewając się wyników tem lepszych, niż dawniej. Siejąc jednak i sadzając nowe rośliny, zaniedbuje plewienia chwastów, które krzewią się, niezauważone przez niego. Czyż zatem jego wiedza obecna da mu lepsze, niż dawniej, plony, czy też pójdzie na marne wobec zachwaszczenia ogrodu?

Zachowujesz się bardzo podobnie, jak ów człowiek. Na pięciu szczeblach niższych starałeś się — bez wątpienia szczerze i usilnie — wyplenić ze siebie wszystkie wady i nałogi, a na ich miejsce zaszcześcić własności ścieżką wymagane. Przeszedłszy z tego „przygotowania“ na ścieżkę próby,

powiedziałeś sobie: „Oto wyplewiłem w sobie złe nałogi i wady, a zaszczepiłem własności żądane, zatem teraz mogę szczepić dalej spokojnie i zbierać owoce, bo chwastów już się pozbyłem“. Nie pomyślałeś jednak nad tem, że chwasty, podobnie jak w ziemi, tak i w twojej duszy rozrastają się ciągle na nowo, jeżeli ich nie tępisz bez przerwy, bez wytchnienia. Spocząć ci nie wolno ani na chwilę, bo każdy spoczynek, to już cofnięcie się wstecz na ścieżce. Kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Nie postępując, zostaje w miejscu, a tymczasem inni idą dalej i zostawiają go w tyle.

Spojrzyj uważnie w głąb własną, bez pobłażliwości i bez nieszczerości wobec samego siebie. Czy żadnej już wady, naprawdę żadnej, w sobie nie znajdziesz? Czy rzeczywiście wyplenileś już tak dokładnie wszystkie chwasty, że żaden nie rozrósł się na nowo? Czy już nic, faktycznie nic, nie przyglusza tych dobrych roślinek, które wyhodowałeś w duszy z taką pieczołowitością i z takim mozołem? Jeżeli dasz odpowiedź przeczącą, oszukasz sam siebie. Utaisz przed sobą faktyczny stan rzeczy.

Weź jako przykład rzecz tak drobną choćby, jak to, o czym przepięknie pisze Kriszna-Murti (G), gdy przedstawia cechy przysługi prawdziwie bezinteresownej. Czy ty naprawdę zdołasz wznieść się do tego, aby wyświadczyć komuś przysługę, choćby rzeczywiście wielką, nie pochwalić się tem, jeżeli nie przed nim, to przed kimś trzecim? Czy potrafisz zostać „dobroczyńcą nieznanym“ i to naprawdę nikomu nieznanym? A jeżeli nawet czasami potrafisz, to czy nie przemknie ci przez duszę uczucie zadowolenia ze siebie, lub nawet myśl: „No, teraz dokonałem czegoś naprawdę niezwykłego; niechby to kto inny potrafił!“

A przecież to jest rzecz całkiem drobna i zwykła. Zapewne, że nie jest zwykłą ani drobną u ludzi zwyczajnych; ale na „ścieżce“ jest czemś, co się samo przez się rozumie. Widzisz już z tego, jak trudno wyplenić doszczętnie miłość własną i pychę. Obie chodzą w parze, chociaż przybierają nieraz pozory bardzo niewinne. Czy nie przychodzi ci nigdy myśl, że przecie jesteś już „tak daleko“ na ścieżce, więc należy ci się jakaś specjalna pieczołowitość owych Istot Wzniosłych, które rządzą losem? Poczujesz się, jakgdyby podświadomie, do jakichś zasług niezwykłych i do żądania za nie dla siebie jakichś przywilejów równie niezwykłych. Zapominasz o tem, że im wyżej wstępujesz, tem większe masz obowiązki, ale tem mniej masz prawo oczekiwać dla siebie. Wszakże tylko to jest dobre dla ciebie, co zrobisz dobrego dla drugich, wcale o sobie nie myśląc.

Imaginacje twoje, których już doświadczyłeś, i które będziesz miał coraz częściej, pouczają cię bardzo wyraźnie o jakości i wartości twego wnętrza. Pokazują ci, jaki jesteś naprawdę; stawiają ci przed oczy ciebie samego jakby drugą istotę, na którą możesz patrzeć i oceniać. To widywanie siebie, jako sobowtóra astralnego, będzie ci się pojawiało coraz wyraźniej, a po „wtajemniczeniu“ będzie towarzyszyło ci stale. Steiner (C) nazywa to spotkaniem ze „strażnikiem progu“. Jest rzeczywiście strażnikiem ten twój sobowtór, broni ci bowiem przejścia przez próg wtajemniczenia, jeżeli nie jesteś oczyszczony dokładnie ze wszystkich chwastów na duszy. Wtajemniczenia nie zdołasz wymusić żadnymi środkami nieprawidłowymi. Do niego musisz doróść, ale wdrzeć się w nie przed doróżnieniem nie potrafisz. Jeszcze w czasach dawniejszych, gdy wtajemniczenie odbywało się niejako z zewnątrz, przez pomoc drugich, już wtajemniczonych,

możebne bywały wtajemniczenia nieprawidłowe, przedwczesne, a nawet wprost nienależne. Teraz jednak — od czasów Chrystusa — dostąpić można wtajemniczenia tylko z pełną samowiedzą, a nie na odpowiedzialność drugich; musi się poprostu dorosnąć i dojrzeć podobnie, jak roślina naprzód musi dorosnąć, nim dojrzeje. Musi rozwinąć liście i kwiaty, nim będzie zdolna do wydania owocu. Podobnie i ty musisz rozwinąć kwiat twego ducha: jaźń wyższą; kwiat ten musi rozkwitnąć tu, na równi fizycznej, a nie pozostać tylko na równi noumenów jako „możebność“. Znaczy to, że twa jaźń wyższa musi wrosnąć silnie w równie rupa, w twe ciała; musi opanować je i zostać ich władczynią niepodzielną. Nasionko jej, drobne i wątłe, które zasadziłeś w gruncie twej duszy, musi mieć grunt ten czysty i wolny zupełnie od chwastów, aby nie przygłuszały wzrostu i nie hamowały rozkwitu.

A do rozkwitu potrzebne jest oświecenie. Działa ono tak, jak promienie słońca na roślinę. „Przygotowaniem“ uprawieś grunt, usunąłeś zeń chwasty a zasadziłeś nasionko. Teraz potrzeba promieni słonecznych, aby ono wzrastało, i potrzeba pielęgnowania go, aby go chwasty nie przytłumiły. Gdyby poczęło rozkwitać obok chwastów, kwiat byłby nikły i nie wydałby owoców dobrych, lecz cierpkie lub trujące. Ciągła kontrola, czy się chwasty nie krzewią, jest tedy konieczna. Ty sam tylko bierzesz na siebie odpowiedzialność za wszystko. Mistrz twój wskaże ci drogę, ostrzeże przed błędami, podtrzyma nawet w chwili upadku, ale nic za ciebie nie zrobi i za nic odpowiadać nie będzie.

Abyś zaś mógł z pełną odpowiedzialnością przejść poza próg wtajemniczenia, na to potrzebny ci jest właśnie ten zakres oświecenia, którego dostępujesz kolejno imaginacjami, inspiracjami i intuicjami. Owe widzenia astralne barw i poświat, które tworzyły może jedne z pierwszych twych przeżyć nadmysłowych, wprowadziły cię w „halę nauki“. Dały ci tej nauki dokładnie tyle, ile ci potrzeba do oświecenia się o świecie astralnym. Teraz rozumiesz, że te widzenia imaginacyjne, chociaż do nich nie dążyłeś, były przecież nie przypadkowe bynajmniej, lecz celowe. A że wydawały ci się przypadkowemi, niezależnemi od twej woli i chęci, to było tak dlatego, iż mogły się pojawiać tylko w miarę rozwoju twych padm, twych „zmysłów nadmysłowych“. Ty zaś tego ich rozwoju dostrzegać nie mogłeś, bo ich samych jeszcze widzieć nie byłeś zdolny. Podobnie i dziecko nie widzi swoich oczu, a przekonywa się dopiero wtedy, że je ma, gdy zacznie spostrzegać niemi świat zewnętrzny. Teraz wiesz już, że padmy twe są w pełni rozkwitłe i czynne, bo odbierasz niemi wrażenia astralne. Inspiracjami nauczyłeś się je czytać: wiesz, co one oznaczają, od kogo pochodzą. Intuicjami wreszcie dostępujesz do porozumiewania się wprost z temi istotami, od których owe wrażenia pochodzą, a nadto z takimi istotami, które nie potrzebują równi astralnej, ani nawet myślowej, do swej działalności. Umiesz już odróżniać istoty astralne od myślowych, a te od karmicznych.

Wskutek wejścia w styczność z istotami tak wzniosłemi zmienia się także twój stosunek do twej *karmy*. Jako człowiek zwykły ulegałeś *karmie* ślepo i nieodwołalnie. Odmierzały ci ją *Lipika* na każde twe wcielenie w takiej ilości, abyś ją w danem wcieleniu mógł odrobić bez wytężenia nadmiernego, ale i bez próżnowania. Poprostu „stosowały wiatr do wełny jagnięcia“. Byłeś swą *karmą* skrepowany w każdym życiu tak ciasno, że

chcąc nie chcąc musiałeś ją odrobić; nawet sposób odrobienia był ci narzucony i ściśle określony. To też życie popychało cię nieubłaganie w tym kierunku, który miałeś zakreślony już przed swym urodzeniem; własne twe wady i namiętności wprowadzały cię w takie warunki życiowe, jakie właśnie były najodpowiedniejsze dla twej karmy. Warunki te z twego osobistego punktu widzenia były oczywiście dla ciebie najczęściej „niepowodzeniami“ lub „nieszczęściami“; przypisywałeś je trafowi ślepego lub losowi niesprawiedliwemu. A tymczasem to Lipika pociągały tylko za sznureczki, utkane z twych żądz i błędów, lub posługiwały się niemi jak młotami, któreby, bijąc w ciebie, wykrzesaly przecie ową iskierkę bożą, jaźń wyższą w tobie uśpioną.

Jeżeli uważnie przeglądasz swe życie terażniejsze, spostrzeżesz, że obecnie już tak nie jest. Z biernej ofiary swej karmy, ze zwierzęcia jutrzego, popędzanego przez kogoś z zewnątrz, zmieniasz się zwolna w poganiacza owego zwierzęcia. Ty s a m już nakładasz ciężary, s a m je dobierasz, sam określasz kierunek. Z roli biernej przechodzisz w czynną. To, co dawniej Lipika robiły za ciebie, teraz ty sam zaczynasz robić za siebie. Bierzesz swój los w rękę, i to bierzesz świadomie. Z niewolnika przedziergasz się we władcę. A przedziergasz się dlatego, że już w znacznej części oczyściłeś się z wad i żądz samolubnych, więc one już nie mogą być wędkami, wciągającymi cię we warunki karmiczne. Brak już tych więzów, które cię pętały dotychczas; brak środków do prowadzenia cię przymusowego; to też, nie mogąc już być kierowanym, masz sam sobą kierować. Wolno ci już teraz wybierać, w jaki sposób chcesz swą karmę odrabiać, wolno ci nawet zwiększać sobie jej zakres w tem życiu, aby tem rychlej odrabianie ukończyć. Na to właśnie służy ci twoje oświecenie.

Ono umozębnia ci nadto coś więcej. Umozębnia ci wglądanie w działalność ogólną, jaką nad karmą świata rozwijają owe istoty wzniosłe, zwane *Lipikami*. Możesz przyglądać się ich czynności i rozumieć motywy, któremi one się kierują przy wydzielaniu karmy ludziom pojedynczym, rodzinom, miastom, narodom i całemu globowi ziemskiemu. Stajesz się ich pomocnikiem, pracujesz wraz z niemi i bierzesz na siebie ochotnie część karmy „nieosobistej“, to znaczy część karmy ogólnej twego miasta i twego narodu. Czujesz się współodpowiedzialnym za tę karmę, bo przez swe intuicje wchodzisz w łączność z istotami tak wysokimi, jak duchy narodu, szczepu lub rasy. Stajesz się ich częścią; uczestniczysz w ich karmie, ale i w ich potędze.

Bo wszakże to jest potęga nadludzka, mieć w rękę swój los, koleje swego życia, bieg wypadków. A ty to masz teraz w rękę. Uczestniczysz nadto we władzy stokroć większej: masz wpływ na karmę świata, władasz nią świadomie i rozumnie. Pomyśl nad całą doniosłością tych słów: ty tworzysz dzieje! Historia świata potoczy się tak, jak ty jej wskażesz. Ty, człowiek mały, niepozorny, nikomu nieznan, ty tworzysz dzieje świata. A dopuszczonyś do tej władzy nad dziejami światowemi dlatego, żeś wyzbył się egoizmu, że zatem niema obaw, abyś tej władzy nie nadużył do celów samolubnych, niezgodnych z ideą postępu powszechnego.

Zważ, jak niesłychane szkody dla tej idei mógłby wyrządzić ktoś, kto posiadałby władzę podobną twojej, ale nie miał twój poziomu moralnego. Zważ, że oprócz tej władzy nad karmą ty masz jeszcze szereg innych zdolności nadludzkich. Masz zdolność widzenia astralnego i myślowego: znasz

uczucia ludzi i ich myśli. Ileż to nadużyć popełniałby na twym miejscu ktoś drugi, jak wykorzystywałby to czytanie w myślach i uczuciach ludzkich, jak bezwzględnie posługiwałby się nimi do swoich celów! Ty jednak tego nie robiłeś i nie zrobisz, bo jesteś na „ścieżce“.

Zważ dalej, jak niezwykle, wprost nadludzko, przewyższasz twą wiedzą nie tylko filozofów i przyrodników, lecz także psychologów, fizjologów, socjologów, wreszcie historyków. A tej wiedzy nie nadużywasz do żadnych celów ubocznych, nie chęłpisz się nią nawet. Nikt nie wie, że ją posiadasz, bo nie masz jej na pokaz, na wzbudzenie podziwu, tylko na pomaganie tym, którzy pomocy rzeczywiście potrzebują. Pomagasz im bezimiennie i znikasz zaraz, aby nie zauważyli nawet, komu mają być wdzięczni. Wiesz już, że czynić masz wszystko bez oczekiwania jakichkolwiek owoców, a więc także pomagasz ludziom bez oczekiwania — już nie tylko wdzięczności, ale nawet — wyników tej pomocy. Nie idzie ci o to bynajmniej, czy twa pomoc była rzeczywiście pomocą, czy wogóle była pomocą, a nie szkodą; zrobiłeś swoje, to znaczy, zrobiłeś to, co uważałeś za wskazane w danych warunkach, i odszedłeś. Nawet w głębi duszy nie zachowałeś uczucia zadowolenia ze samego siebie.

A tem bardziej nie zachowałeś tam pychy, że oto „pomagasz światu“. Tak naiwnie zarozumiały już nie jesteś, aby sądzić, że twojej marnej pomocy świat oczekuje, że jej pożąda, że bez niej utknąłby w swym postępie. Gdybyś ty uchylił się od pomocy, pojawiłoby się na twoje miejsce stu innych, którzyby pomogli za ciebie, ty zaś obciążyłbyś tylko swoją karmę tem uchybieniem. Pomagając światu, pomagasz tylko sobie, a więc ani zasługi w tem niema żadnej, ani prawa do wdzięczności lub uznania. Aby zaś ta pomoc, udzielana drugim, była dla ciebie naprawdę pomocą, musi być wolna od spodziewania się owoców. Gdy, pomagając drugiemu, nie myślisz przytem wcale o sobie, wtedy pomagasz sobie naprawdę. Zyskujesz, gdy o zysku nie myślisz, gdy oń nie dbasz wcale. A „zyskiem“ byłoby tu nawet twoje liczenie na wdzięczność, lub uczucie zadowolenia ze siebie.

U kresu tej ścieżki „oświecenia“ czeka cię próg wtajemniczenia; abyś zaś mógł ten próg przestąpić, musisz być gotów zostawić przed nim wszystko, co wiąże cię z ziemią; i z jej sprawami. A liczenie na owoce twych czynów wiązałoby cię do nich podobnie, jak liczenie na wdzięczność ludzi za twą pomoc wiązałoby cię do tych ludzi. Jako „czeladnik“ masz być dosłownie „umarłym dla świata“, bo będziesz dopiero wtedy mógł dlań działać owocnie, gdy w nim tkwić przestaniesz. Nie mógłbyś obsługiwać maszyny, gdybyś był sam jej częścią składową: musisz być poza nią, nie tkwić w niej swą istotą. Dlatego masz stanąć u wrót śmierci, dlatego masz przez śmierć przejść, aby dostąpić wtajemniczenia.

Masz przejść przez śmierć, a jednak żyć dalej na ziemi, nosić w sobie tajemnicę tego, co jest po tamtej stronie zgonu. Tajemnic takich nie powierza się byle komu. Zdarza się, że i ludzie zwyczajni powracają jeszcze do życia, przeszedłszy przez śmierć czy to w letargu, czy w chorobach; ale przechodzą ją nieświadomie, nie pamiętając nic, co tam widzieli. Ty zaś masz przejść przez śmierć świadomie, masz zapamiętać wszystkie szczegóły tego zdarzenia — i masz ich nikomu nie wyjawić. Dostąpienia tej tajemnicy musisz być godnym bez zastrzeżeń i dlatego to ścieżka oświecenia jest ciągle jeszcze tylko „ścieżką próby“, której możesz nie przetrwać.

Rubin

Chemicznie należy do grupy korundów: Al_2O_3 — tlenek glinu. Stopień twardości 9. Wyraz „korund“ jest pochodzenia indyjskiego; najpiękniejsze okazy rubinów znajdują się w Indjach, Cejlonie i Kaszmirze. W handlu bardzo często za rubiny podawane są spinelle o czystej, mocnej czerwieni i silnym połysku; ich skład chemiczny: $MgAl_2O_4$. Twardość ich jest nieco mniejsza, dochodzi tylko do 8 stopnia. Ponieważ rubiny z grupy korundów są w handlu jubilerskim niezmierną rzadkością (cena ich przekracza cenę brylantów) przyjąć musimy, że ogólnie spotykane rubiny są spinellowcami. Naturalnie o ile są prawdziwe, a nie syntetyczne*), t. j. sporządzane sztucznie, bowiem te ostatnie stanowią dzisiaj olbrzymią pozycję w zdobnictwie klejnotami.

Rubin, dziecię Marsa, mówi nam o wiecznie rozkwitającym, nowem życiu, o tajemnicy poczęcia i zejścia w materję istoty, będącej wieczystą zagadką Nieba i Ziemi: człowieka!

Rubin, to wolańce krwi o możność ofiarowania się na ołtarzu miłości! Obojętną jest rzeczczą, czy stos ofiarny płonąć będzie krwią męczenników, czy ekstazą wyrzeczenia się wszystkiego na rzecz ideału, czy westchnieniem szczęścia w objęciu ukochanych ramion: zawsze i wszędzie będzie synonimem ofiary i aktu twórczego, który powoła do życia nową istotę, czy nową ideję!

Czerwień jest sztandarową barwą rewolucjonistów, którzy w barwie tej wypowiadają swą gotowość oddania życia w obronie głoszonych haseł; jest też królewską purpurą władców świeckich, oznaczającą dostojność i moc tych, którzy reprezentują majestat danego kraju, czy państwa.

Purpura połączona z bielą jest też barwą narodową Polski i zamyka w sobie święty symbol męczeństwa oraz potęgę i zawsze żywej a bezinteresownej miłości, gotowej poświęcić życie dla swego ojczystego kraju!

Czerwień jest wyrazem siły i żywotności i — nie tylko wyrazem, lecz samą siłą, najdłużej opierającą się wszelkim usiłowaniom zniszczenia i unicestwienia. Codzienny przykład dają nam kwiaty w ogrodzie: gdy przychodzi jesień, gdy szron niszczy całe grzędy kwiatów, które zamierają od lodowatego poddmuchu zimy, czerwone róże i dalje trwają najdłużej. Tak

*) Wobec dość licznych zapytań czytelników, czem różnią się kamienie prawdziwe od syntetycznych, podaję — jakkolwiek nie należy to do właściwego tematu — jeden ze sposobów wytwarzania kamieni szlachetnych. Droga syntetyczną otrzymuje się np. rubiny w sposób następujący: do gorącego płomienia gazu świetlnego, zaprawionego tlenem, wprowadza się subtelnie rozdrobiony tlenek glinowy: Al_2O_3 . Małe jego cząsteczki topią się, a drobny deszcz kropelek stopionych pada na podstawioną płytę ogniotrwałą. Tu stop zbiera się i krystalizuje w postaci jednego dużego osobnika wielkości grochu lub bobu. Czysta glinka zamienia się na bezbarwny korund, a przez dodanie tlenku chromowego otrzymuje się wspaniałe, barwione czerwono kryształy, które przenoszą co do wielkości i piękności nawet rubin naturalny. Są też do prawdziwych podobne ze wszystkich własności istotnych: postaci krystalicznej, twardości, ciężaru właściwego i orientacji optycznej. W znaczeniu okultystycznym są jednak zupełnie „martwe“, nie posiadają bowiem wewnętrznego życia, nie promieniują tem czemś tajemniczem, co stanowi ich istotną duchową wartość, co łączy ich i utrzymuje w wieczystym kontakcie z pulsującym życiem Kosmosu.

samo cięte kwiaty we flakonie tego samego rodzaju, lecz różnej barwy, umierają niejednakowo: białe kwiaty więdną najszybciej, czerwone zatrzymują swą świeżość najdłużej.

Istnieje twierdzenie, że jeżeli na ciele zmarłego pozostawimy klejnot z rubinu, zwłoki przez dłuższy czas opierają się rozkładowi. Ta sama siła, która uodpornia kwiaty o barwie purpurowej przeciwko śmiercionośnym igielkom lodu, ścinającym i unicestwiającym krążenie jej soków, ta sama siła zatrzymuje proces gnilny w organizmie zmarłego. Jest to dowód niesłychanej witalności, zamkniętej we właściwościach czerwonej barwy.

Dla ludzi apatycznych, schorzałych, pozbawionych inicjatywy i pogrążonych w melancholji, czerwona barwa ścian działa uzdrawiająco i aktywnie. Czerwone zasłony w oknach łagodzą przebieg tej straszliwej choroby, jaką jest ospa, a naświetlanie chorych miejsc czerwonym światłem, usuwa blizny i pozostałości strupów na ciele.

I znowu siła, której działanie poznaliśmy w wyżej wspomnianych kwiatkach, przyspiesza tutaj proces reorganizacji tkanek ciała, nawiedzonych ospą. Jeżeli proces ten biegnie dość szybko, ślady po ospie nie mają tej wyrazistości, jaką niestety obserwujemy tak często na twarzach ludzi nawiedzonych tą przykrą chorobą.

Czemże jest tedy barwa, jeżeli tak ważną rolę odgrywa w procesach psychicznych i fizycznych życia na ziemi?

W odpowiedzi zacytujemy słowa polskiego filozofa *Karola Libelta*:*)

„Jak każda właściwość ciała, tak i barwa jest jego siłą, a cudowna pracownia sił natury, będąc czysto duchowego znaczenia, wiecznie będzie zmysłem ludzkim zasłonioną. Umrze, kto tę zasłonę Izdydy chce uchylić, albowiem stać się musi bezmaterjalnym duchem.

„Kształt jest wypełnieniem przestrzeni przez materjalność ciała; barwa jest wypełnieniem tejże samej przestrzeni przez światło, które się z materjalnością *ożeniło*, jak forma z treścią. W każdym atomie ciała jest barwa; ona przenika wszystkie jego cząstki, tak wewnętrzne, jak zewnętrzne; ona jest objawem jego złożeń krystalicznych, jego wyrobów i mieszanin organicznych; ona jest znaczeniem, napiętością, niejako duszą, tak całości ciała, jak każdej jego cząstki.

„Barwa jest wyrazem indywidualności ciała i — co się wewnątrz niego niewidzialnym sposobem wyrabia — to się nazewnątrz jako barwnik objawia. Jest to wytrysk utajonego w materjalności światła, które się w niej na barwę wygotowało i osobną, sobie tylko właściwą indywidualnością ciała świeci — *jak dusza utajona, która jest wszędzie, ale jej pochwycić nie można*“...

Jeżeli barwa jest duszą każdej rzeczy, czemże jest tedy każdy klejnot, w którym sama Przyroda zakłęła żywe, nieśmiertelne światło i czarującą, wiecznie młodą i niezmienną barwę?

Może właśnie „w duszy“ klejnotu — w jego barwie — spoczywa tajemna moc jego działania? Tutaj uchwyconą i „ucieleśnioną“ została siła planet, których działanie kołysało w głębi ziemi przeróżne, w barwach

*) „Estetyka, czyli Umnictwo piękne“.

i rodzajach krystalizacji, kamienie szlachetne; tutaj wyciśnięto tym przedziwnym „kwiatom“ wnętrza ziemi piętno ich „przynależności“ rodzinnej, ich imię i „herb“, ową dziejową spuściznę „ojców“, krążących w bezmiarze kosmosu po swych odwiecznych szlakach...

Rubin jest wysłannikiem i przedstawicielem Marsa i reprezentuje w sobie wszystkie cnoty i zalety tej najbliższej ziemi położonej planety.

„Sława i jej pożądanie, namiętne porywy i dzika drapieżność, przedsiębiorczość i pionierstwo, głód życia i entuzjazm, odwaga i niezależność, wspaniałomyślność, wypływająca z poczucia mocy i potęgi, oraz miłości, pełnia szczęścia i dosyту — to rubin!

Kwiat pełen rozkwitającego czaru, niepokój wiosny, pulsującej nowymi siłami, szukającej nowych dróg i nowych wartości życia, oraz dosyt lata, pełnego złotych kłosów i purpurowych owoców, wiosniany czar kwietnia i sytość plonów sierpniowych — to błogosławiony wpływ Marsa, boga rozkoszy, płodności i urodzaju; symbol wszechżycia i wszechsiły; to purpurowy, pełen pulsującej krwi — rubin!...

I, jak rubin w blasku ognia zapala się nowym, niemal ustokrotnionym życiem, tak płomienna jego barwa działa podniecająco na ludzi: zmusza myśl do aktywności, a krew do silniejszego tętna. — Apatyczni, zniechęceni, zgorzkniali życiowo i pełni smutnych nastrojów ludzie winni poddawać się dobroczynnemu działaniu czerwieni, ale unikać go muszą jednostki gwałtowne, impulsywne, niespokojne, oraz chorzy na płuca i obrażenia wewnętrzne. Marsowe wibracje czerwieni przyspieszyć mogą niebezpieczne dla życia krwotoki.

Natomiast w wielu innych chorobach leczenie barwami stosuje czerwień jako jedną z podstawowych barw chromoterapii.

Przy rozpoznawaniu np. choroby oczu jest rzeczą charakterystyczną, że ci, którym *leucoma* (nieprzeźroczysta plama na rogówce oka) przesłania i osłabia wzrok, czytają i widzą znacznie lepiej przy świetle czerwonym. Już sam ten fakt ułatwia diagnozę w fazach początkowych, gdy — z powodu delikatności plany — rozpoznanie bielma jest utrudnione. Przy *leucomie* noszenie czerwonych okularów może być bardzo pomocne. Przy wszelkich paraliżach uzdrawiającą barwą jest czerwona — przeciwstawna niebieskiej, to zn. Saturnowi, który powoduje owe choroby, tak samo, jak wszelkie gorączki i choroby zakaźne, powodowane złemi aspektami Marsa, leczą się znów barwą niebieską! Można to tłumaczyć tem, że barwa czerwona odpowiada całom elektryczno dodatnim, a barwa niebieska całom bliższym ujemnego bieguna elektryczności. Stosując więc przeciwstawne barwy, a zatem i wibracje, chromoterapia dąży do wprowadzenia równowagi w organizm chorego. Wszelka bowiem choroba jest tylko naruszeniem harmonji w organizmie i właściwe leczenie musi zawsze obejmować nie tylko lokalne podrażnienia i niedomogi, ale cały organizm. W prawie tym zamyka się naturalna a jednak tajemnicza i cudowna właściwość kamieni szlachetnych, które intuicja ludzi powoływała od wieków do walki z niebezpieczeństwami i chorobami nawiedzającymi ludzkość.

Od zarazy i morowego powietrza, które dawniej wyniszczało i pustoszyło miasta i wsie, chronić miał amulet z rubinu. Strzegł również od pioruna, odpędzał „złe sny“ i sprowadzał ukojenie. Św. Hildegarda zaleca rubin

oraz hiacynt (pomarańczowo-różowy) jako niezawodne środki przeciwko wszelkim psychicznym urojeniom (manji prześladowczej) i halucynacjom.

Rubin przynosi z sobą radość, chęć czynu i zdolność gojenia głębokich ran psychicznych... Im bliżej znajduje się smutnego, chorego serca, tem działanie jego silniejsze, a wpływ bardziej wyczuwalny.

W starożytności zwał się u Greków *Pyropos* (ognisty), lub *Anthrax*, w sanskrycie *Xemen*; znany był również pod nazwą *karbunkułu*, którą to nazwę dzisiaj jeszcze spotykamy w opisach średniowiecznych autorów. Szczególniejszy kult żywił dla rubinu Piotr Wielki. Car ten posiadał zdumiewającą siłę magnetyczną, którą podobno czerpał ze swego wspaniałego rubinowego pierścienia. Poza tem jemu też zawdzięczał wszelkie zbawienne idee, jakie ożywiały duszę tego potężnego cara i — wcielone w Rosję — zjednały mu tytuł Wielkiego! A może tylko — płomienna natura Piotra — pod ożywiającemi promieniami rubinu budziła się i hartowała do czynów wielkich, a genjusz Marsa poprzez ów purpurowy klejnot przemawiał silniej i wzniecał w nim nigdy nie gasnącą chęć czynu i walki ze stami, strupieszaleni formami?

Bo rubin nie pozwala się cofać, ale zagrzewa do walki, do czynów bohaterskich, których nie opromienia nawet glorja sławy i zwycięstwa. Ideję tę zamyka niemieckie przysłowie: „*Heute rot, morgen tot*“... I dla tego ludzie bardzo znuzeni życiem, łaknący ciszy i wypoczynku, których nie nęci już żadna rozkosz i żaden sukces, a jedynem ich marzeniem jest cisza i spokój zmierzchu, odwracają się z niechęcią od czerwieni... Jej aktywność niepokoi ich, a może — może budzi niewczesne wspomnienia?...

Lecz kolor rubinu jest ukochaną barwą młodości, tej, „co nad poziomy ulata“ i z posad pragnie poruszyć stary świat i zamarle formy... Jest również barwą miłości i rozkoszy, pieniającej się jak purpurowe wino w kielichu kryształowym. I kobiety ten zew miłości przywołują bezwiednie na usta, znacząc je często, jakże jaskrawą i nieestetyczną czerwienią! Wszelka przesada jest tutaj grzechem przeciwko rzeczywistości Pięknemu, które zna dozwolone granice i nie narzuca się oczom krzykiem ognia i krwi.

Amerykański filozof i reformator wewnętrznego życia, *Prentice Mulford*, zaleca otaczanie się barwami jasnymi i żywymi; one bowiem stają się „wyrazem oraz przyczyną stanów psychicznych“; „religja barw“ będzie z postępem kultury zrozumiałą dla wszystkich, w niej bowiem zamknięta jest tajemnica naszej radości, pogody duchowej, dobrego samopoczucia i energii twórczej.

Siła i moc jest wszędzie wokoło nas, lecz my zamykamy oczy, zasłaniamy uszy i staramy się nie widzieć tej radości życia, jaka pulsuje w najlichszej trawce, w najbardziej nikłej, szarej ptaszynie, w najsmutniejszych, przesłoniętych mgłą łez — oczach dziecięcych.

Ukochajmy płomienny rubin i starajmy się, by moc jego spłynęła na nas i odmieniła nasze dusze. By zginęło to wszystko, co z życia czyni ogród udręczeń i różaniec łez, a zakwitła nam wiosna nadziei w lepsze jutro, w świat promiennej przyszłości! Nauczmy się rozumieć, że myśli dzisiejsze jasne, silne, pełne miłości i wyrozumienia — stworzą nam w dniu jutrzejszym lepsze warunki życia i otoczenia.

„Kto oczekuje nieszczęścia, prosi o to nieszczęście i otrzyma je“ — mówi Mulford, oczekujmy zatem dobra, sprawiedliwości i pogody, a myśli

nasze przyciągną ku nam dalekie światła i z zamków, które na lodzie budo-
wać będziemy — powstaną czasami rzeczywiste, granitowe pałace...

Utrwalmy w naszych duszach te oto słowa wspomnianego filozofa,
iżby stały się zachętą i ostrzeżeniem zarazem:

„Każda z naszych myśli jest realnością, jest siłą! Każda myśl
jest cegłą w tworzącym się losie — dobrym, czy złym!“
Wówczas w całej pełni zrozumiemy, że najważniejszym naszym obowiąz-
kiem jest: myśleć promiennie i pogodnie!

Według ezoterycznej tradycji przydziela się rubin ludziom urodzonym
pod znakiem Barana (od 21. III. do 20. IV.) lub Skorpjona (od 23. X. do 23. XI)
(tu raczej granaty); nad obu temi znakami „panuje“ Mars. Rubin jest
również kamieniem ludzi z pod Lwa (od 23. VII. do 23. VIII.) i z tego tytułu
przypisują go Słońcu. Niema w tem żadnych sprzeczności, bowiem — mó-
wiąc językiem astrologów — Słońce jest „wywyższone“ w Baranie.

Do rodziny rubinów zaliczane są także hiacynty, granaty, spinellowce
i krwawniki, o których później będzie mowa. Każdy z tych kamieni odzna-
cza się inną właściwością, jakkolwiek we wszystkich dominują ogólne
zalety zaznaczone w rubinie.

Dr. Julian Ochorowicz

Przekład J. Duninowej

O sugestji myślowej

III. Prawdziwa sugestja myślowa.

(Ciąg dalszy.)

14 styczeń.

Pani M. usnęła z trudem, ale bardzo głęboko. Przez pół godziny nie
słyszała mnie wcale. Od czasu do czasu dostawała drżenia palców, ale
skurcze nie pojawiały się; puls bił równo, choć słabo, 80 uderzeń na min.
Głowa nie była rozpalona, a kończyny nie zimne; mimo to stan był katalep-
tyczny — bezideowy.

36. **Chcę, abyś mnie usłyszała.**

| Bez reakcji.
Po kilku minutach stan omdlenia.

Z powodu chorobliwego stanu pacjentki doświadczenie odłożyłem, roz-
kazując jej spać spokojnie przez całą noc. Istotnie spała dobrze.

Obudziła się zupełnie zdrowa. Ta poprawa jej zdrowia pozwoliła mi
dokończyć przerwane doświadczenie; uspiłem więc ją, jak zwykle. Następnie
uspiłem jej brata, siedzącego spokojnie na fotelu pośrodku pokoju. Wpadł
w sen beideowy — paralityczny, choć dość lekki, z którego nie trudno było
go wyprowadzić, lecz bez mojej pomocy sam uczynić tego nie mógł. Pani M.
leżała na kanapie we śnie somnambulicznym pasywnym. Po kilku głaskach
sen jej pogłębił się; wtedy odszedłem do drugiego pokoju, aby robić do-
świadczenia.

18 styczeń.

38. **Wstań i uklęknij na środku pokoju.**
(Uklęknij.)

= 0.

Wzdrygnęła się. (Opowiadała potem, że spała b. głęboko, gdy naraz coś ją obudziło.)

Wstała i poszła na środek pokoju, gdzie spotkała swego uśpionego brata. Tym razem nie wstrząsnęła się, odwrotnie z przyjemnością zaczęła go dotykać, choć nieco była zdziwiona. Po chwili powróciła na swoje miejsce.

Po dwu minutach wahania wstała i **uknęła**.

Po tem doświadczeniu zaczęła mi opowiadać, że gdy odnalazła brata na środku pokoju, stropiła się i już nie wiedziała, co ma robić. Czułam pana jednocześnie w dwóch miejscach — tam, gdzie pan siedział i tam, gdzie siedział brat. Tam na środku pokoju siedział drugi „pan“.

— Jakto, drugi „ja“?

— Coś od pana; ja nie wiem, ale to mnie zdziwiło i zmyliło.

24 styczeń.

Usnęła na fotelu; początkowo snem bezideowym, następnie jednoideowym.

39. **Zgaś świecę na fortepianie.**

Tak blisko nachylała się nad świecą, że sam ją zgasilem w obawie, aby nie zapaliła sukni.

Daj świecę.

40. **Daj lewą rękę.**

Trzymałem ją za prawą rękę.

41. **Chodź do mnie.**

Uprzednio odszedłem od chorej dość daleko (na kilka metrów) do korytarza, o czem chora nie wiedziała

Wstaje.

Podchodzi do mnie, po chwili **idzie do fortepianu**. Dotyka klawiszów.

Wyjmuje świecę z lichtarza.

Chwilę trzyma ją w ręce.

Przynosi mi świecę i podaje.

Podnosi lewą rękę i podaje mi.

Marszczy brwi.

Wstaje.

Podnosi prawą rękę i idzie naprzód, prosto do korytarza.

Pośpieszyłem na jej spotkanie.

Ucieszyła się, gdy dotknęła mojej ręki — i powoli powróciła na miejsce.

Tego wieczora postanowiłem wypróbować siłę mego magnetyzmu i w tym celu uśpiłem chorą, a bratu jej poleciłem, aby nagle, niespodziewanie jej dotknął. Doznała niemiłego wstrząsu i odepchnęła go. Manewr ten powtórzyliśmy kilkakrotnie, i zawsze chora reagowała jednakowo. Zkolei uśpiłem jej brata i gdy we śnie poleciłem mu, aby dotknął siostry, już wstrząsu nie doznała ani odrazy. Kazałem również, aby chora dotknęła uśpionego brata; spełniła rozkaz z zupełną obojętnością.

Doświadczenie podobne powtórzyłem w czasie jej normalnego snu. Trzy różne osoby zbliżyły się do chorej i wyciągnęły ręce w kierunku jej głowy — nie bliżej, jak na kilka centymetrów. Po chwili chora wzdrygnęła się i odepchnęła dwie ręce — trzecią, moją, pochwyciła i przyciągnęła do siebie. W tym momencie zwykły sen przeszedł w sen somnambuliczny. Nie wiedząc, że przyszedłem, zdziwiona była moją obecnością.

4 luty.

Chora obudziła się poirytowana na swą przyjaciółkę pannę Marię.

— Czemuż się Pani na nią gniewa?

— Dlatego, że ona chce mnie tu koniecznie zatrzymać i obmyśla po temu różne sposoby, a ja przecież muszę jechać. (To była prawda.) Wyczuwała we śnie myśli i zamiary p. Marii.

5 luty.

Chora powracała do zdrowia. Hysteryczne siedlisko, znajdujące się pod obojczykiem — było już w porządku, choć siedlisko konwulsji, znajdujące się z tyłu głowy — jeszcze źle funkcjonowało i nie odczuwało ciepła mojej ręki. We śnie somnambulicznym stan zawsze się poprawiał i wszystkie punkty i siedliska nerwowo-reakcyjne funkcjonowały lepiej. Magnetyzując chorą, zapobiegałem zawsze zbliżającym się atakom. To też i dziś, aby przyspieszyć proces kuracji, uśpiłem chorą. Początkowo wpadła w stan bezideowy, potem passywny, następnie w aktywny. Wtedy poprosiła mnie, abym obudził całe jej ciało z wyjątkiem czoła na samym przodzie. W takim stanie wyczuwała najlepiej wszystko, gdyż uśpienie środka czoła zahamowyywa własne refleksje i kalkulacje. Gdy się ukłułem, czy uderzyłem, ból odczuwała b. żywo. Spróbowałem się uszczypnąć.

— Nie lubię tego! — zawołała.

W stanie takim posłuszną zwykle nie była, choć transmisję myśli odbierała b. dobrze. Wyczuła wszakże tylko myśli i uczucia moje, ale woli nie wyczuła. Po godzinie stan ten przeszedł w sen normalny.

Przerywam w tem miejscu opowiadanie o mojej chorej, której pielęgnowanie było dla mnie nadzwyczaj pouczające. Spostrzeżeń i uwag, jakie notowałem z każdego ciekawego przejawu różnorodnych reakcji fizjologiczno-psychologicznych, mam tak wielką ilość, że starczyłoby na dobre dzieło. W pierwszym rzędzie zwracałem uwagę na stronę leczniczą — następną dopiero dziedziną moich obserwacji były przejawy sugestji myślowej. To, co tu umieściłem, w mniejszym lub większym stopniu, jest dowodem transmisji myśli; innych, choć niemniej ciekawych spostrzeżeń, ale nie mających związku z myślową sugestją, nie umieściłem, aby nie przeciążyć czytelnika tematami, odbiegającymi od naszych specjalnych badań. Dlatego może czytelnik nie stworzy sobie pełnego obrazu moich doświadczeń, przez co nie dadzą mu one tyle pewności, co mnie. Ja jednak wyznać muszę, że nareszcie odnalazłem to, czego tak długo szukałem: Zdobyłem to **osobiste głębokie przekonanie** o bezpośredniej reakcji medjum na moje myśli i uczucia.

Może czytelnik zarzucić mi, że wiele z tych doświadczeń nie dało zupełnie zadowalających rezultatów; otóż wyjaśniam, że przyczyną tych mniej udatnych doświadczeń była moja własna wola, t. zn. że komplikowałem je naumyślnie. Usypiałem medjum różnemi sposobami, pogrążając je w cały szereg różnych stanów somnambulicznych, w których transmisja nie zawsze jest możliwa. Robiłem to w celu zrozumienia i wypróbowania maksimum możliwości w różnych warunkach.

Jeśli robiłem doświadczenia w warunkach odpowiednich, rezultaty były zawsze dobre. Przekonałem się więc, że „fenomen“ nie jest czemś nieuchwytnym

nem, jakimś przypadkiem, ukazującym się ni stąd ni zowąd, niewiadomo dlaczego.

Coprawda, podobnie rzecz się przedstawiała z poprzednimi moimi medjami. Pani D. naprzykład po serii doskonale udanych doświadczeń zaczynała jakby tracić umiejętność odczytywania moich myśli; gdyż im dalej, tem więcej zaczynała się mylić — nie tracąc przy tem pewności siebie, coraz bardziej grzebała moje nadzieje.

Jeśli lampę zapaloną wyobraziłem sobie tak dokładnie, że poprostu zdawało mi się, że widzę jej światło — medjum mówiło mi, że widzi książkę. Zauważywszy, że nie potwierdzam i nie reaguję na jej słowa, zaczęła się poprawiać: — Nie, to nie książka; to papieros!

Tego rodzaju doświadczenia, nie dziwię się, że mogą deprymować sceptyka; ale mnie nie zraziły, mimo, że doprawdy nic nie rozumiałem. Nie zarzuciłem badań, no i zostałem nagrodzony, bo przyczynę tych pozornie kapryśnych, niestałych i dziwnych przejawów dziś rozumiem.

Bezpośrednia sugestia myślowa możliwa jest tylko w ściśle określonych warunkach. Medjum musi być tylko w pewnym, dość krótko trwającym stanie somnambulicznym. Już niewielkie odchylenia od tego stanu specjalnego utrudniają odbiór; dlatego czuwanie nad otrzymaniem tego stanu snu jest b. ważną umiejętnością, wcale niełatwą do zdobycia, gdyż mało które medjum umie w tem dopomóc magnetyzerowi. Odwrotnie, przeważnie wprowadza go w błąd. Gdy mówi, że jest specjalnie dobrze usposobione, najczęściej eksperymenty nie udają się, i odwrotnie, gdy mówi, że czuje się źle i nieusposobione, doświadczenia dają dobre rezultaty.

Dla mnie dziś te wszystkie skomplikowane i dziwne przejawy są zupełnie jasne — lub prawie jasne. Otóż na transmisję myśli należy patrzeć jak na pewnego rodzaju audycję, która tylko wtedy jest możliwą, o ile zachowane są ściśle określone warunki.

Nie słyszy się, jeśli się jest głuchym; nie słyszy się, gdy jest duży hałas; nie słyszy się, gdy jest się roztargnionym lub pochłoniętym czem innym. Jest się głuchym na transmisję myśli, jeśli sen jest tak głęboki, że mózg wcale nie funkcjonuje.

W jaki sposób chcecie, aby medjum, pogrążone w stanie bezideowym — paralitycznym, usłyszało, czy odczuło waszą myśl, jeśli nie jest w stanie usłyszeć waszego głosu, nawet krzyku? Jest głuche i napróżno nawet krzyczeć mu do ucha. Cóż więc dziwne, że myśli wysłanej na odległość nie odbiera.

Taki stan bezideowy snu somnambulicznego jest bardziej nieodpowiedni na sugestię myśli, niż zwykły stan pełnej świadomości. A więc ci, którzy wyobrażają sobie, że dosyć jest uśpić medjum, aby czytało nasze myśli, mylą się bardzo.

Nie słyszy się, jeśli jest zbyt wielki hałas; uśpione medjum nie słyszy również, jeśli jest za wiele osób, gdyż uwaga jego pochłonięta jest wieloma wrażeniami, posyланami mu przez wszystkich otaczających. Dlatego nie może skupić się jedynie i wyłącznie na myślach posyłanych mu przez magnetyzera.

Nie słyszy się również, jeśli się jest pochłoniętym inną czynnością, np. jeśli się czyta, pisze, mówi etc. Medjum pochłonięte **marzeniami somnambulicznymi**, nie chwyta myśli magnetyzera, a zależne to jest od stanu snu, w jakim jest pogrążone. Stan aktywny somnambuliczny ujawnia podniecenie i żywość, o wiele przewyższającą stan normalnej świadomości. Powoduje on marzenia,

t. j. z własnej woli i impulsu zbiera medjum wrażenia jemu tylko dostępne, znane i zrozumiałe. Zwykle mówi o tem głośno, co widzi, i nic go więcej poza temi widzeniami nie obchodzi. Uwaga somnambulika w stanie aktywnym nie równa się zeru, jak to się rzecz ma w hipnotyźmie, lecz jest zwrócona w inną stronę tak całkowicie, że nic nie jest w stanie zmienić jej kierunku. Dla ludzi więc dobrze nie obeznanych z różnorodnymi stanami snu somnambulicznego, trudne jest zorientowanie się, czy istotnie stan medjum odpowiada robieniu doświadczeń.

A więc aktywny stan wieloideowy jak i bezideowy - paralityczny zupełnie do eksperymentów się nie nadają. Niektóre medja, przechodząc z jednego stanu w drugi, mogą przez dłuższy czas być pogrążone w stanach pośrednich, przejściowych. Te właśnie pośrednie stany nadają się do odbioru sugestji myśli. Stan jednak dobry do odbioru musi być wyłącznie jednoidewy, ponieważ medjum tylko w jednoideowym stanie może skupić całkowicie swą uwagę na myśli magnetyzera i przypuszczalnie tylko dlatego lepiej nadaje się do transmisji niż stan pełnej świadomości, w której odbiera się różnorodne wrażenia, a więc mniej dokładne, bardziej rozproszone. Chwila, w której medjum przechodzi z głębokiego bezideowego snu do stanu jednoideowego passywnego, nadaje się specjalnie dobrze do odbioru transmisji myśli. Wystarczy wtedy minimalny wysiłek. Nie wszystkie jednak stany przejściowe — pośrednie nadają się do eksperymentów; trzeba bowiem zauważyć, że choć stan jednoideowy jest dobry do transmisji — to stan ten rozbija się na dwa różne napięcia — passywny i aktywny. Stan aktywny, choć jednoideowy, potęguje tak dalece napięcie wrażeniowe, że medjum zaczyna dostawać halucynacji. W stanie jednoideowym passywnym idea dominująca jest subtelnie wyczuwana przez medjum, ale w dość słabem napięciu — w stanie aktywnym idea przetwarza się wprost w manję. Medjum ma wizje, które je tak absorbują, że nic poza tem nie spostrzega. Stan więc ten nie nadaje się do transmisji

Prócz różnicy napięcia wrażliwości stan aktywny od passywnego różni się jeszcze i tem, że w pierwszym wypadku medjum samo dla siebie jest rozkazodawcą, w drugim zaś wypadku medjum ślepo jest posłuszne i podległe magnetyzerowi i spełnia tylko jego rozkazy. Wszystko, co magnetyzer mu każe, jest dlań święte. Wszystko, co powierzone, jest obowiązujące, bezapelacyjnie konieczne i musi być wypełnione. Jeśli medjum natrafia na trudności w spełnieniu zleceń, staje się tak uporczywe i zapalczywe, że stan intensywności uczuć wzrasta do stanu aktywnego, mimo, że źródło impulsu jest inne. Dr. Bain określa taki stan podniecenia w jednoideowym - passywnym śnie jako „siłę ślepa“, czy energję bezwonną, która za wszelką cenę szuka możliwości zrealizowania swego zadania.

Czy to jest stan najpodatniejszy na sugestję?

Tylko do pewnego stopnia tak, gdyż i tu czają się możliwości niepowodzeń. W stanie jednoideowego - passywnego somnambulizmu wystarcza niewielki wysiłek skupienia myśli, aby medjum myśl tę odczuło. Będzie to zaraz widoczne po skupionym wyrazie twarzy medjum, mruganiu i marszczeniu brwi, pewnych ruchach rąk, które robią wrażenie, że medjum już chce wykonywać rozkaz; ale jeśli za intensywnie zacznie posyłać się myśli, lub jeśli medjum za żywo przejmie się powierzonym mu zadaniem, intensywność tego uczucia rozbudza je, przetwarzając stan passywny w aktywny, jedno- lub wieloideowy. To oczywiście zaraz przerywa odbiór myśli. Jeśli medjum z passywnego

wpadnie w stan aktywny jednoideowy, staje się wprost opętane przez żądę służenia magnetyzerowi. Będzie wciąż szukało go, chodziło za nim, ale myśli jego już odbierać nie będzie mogło, gdyż ta aktywna manja służenia będzie już własnowolna. Jeśli medjum wpadnie w stan aktywny wieloideowy, będzie starało się odgadnąć, co ma wypełnić. Różne myśli i pomysły przychodzić mu będą do głowy, ale też tylko własne, nie magnetyzera.

Oto, jak krucha jest gwarancja sukcesu, nawet jednego określonego stanu: pasywno-jednoideowego.

Jest jednak pewien rodzaj, czy odcień passywnego stanu, który daje wszelką gwarancję powodzenia: to pas graniczny, wążutkie **przejście od stanu bezideowego do jednoideowego passywnego**.

Jeśli ten pośredni stan przejściowy najlepiej nadaje się do transmisji, to prosto dlatego, że rozporządza się trochę większą ilością czasu i że — jeśli na początku seansu użyje magnetyzer zbyt wiele energii myśli (co się najczęściej zdarza mało wprawnym magnetyzerom) — to w tym przejściowym okresie snu nie jest to szkodliwe. Powiem nawet więcej, nietylko nie jest nieszkodliwe, ale potrzebne.

Chodzi o to, aby można było medjum tak nastawić, tak uregulować, jak się chce. I tu leży cała trudność zadania, ponieważ bardzo wiele medjów nie nadaje się do regulowania. Również strzec się należy medjów zanadto posłusznych lub zanadto wytrenowanych, wyszkolonych, gdyż mogą mieć cudze złe przyzwyczajenia.

To też **pierwszy seans z nowym medjum należy poświęcić badaniu reakcyjnemu — samej naturze medjum**, t. j. badać, jak długo u danego medjum trwają różne stany, i czy wogóle pojawiają się, jaka jest wrażliwość odbiorcza, i na co najbardziej podatna. Aby dobrze poznać naturę medjum, lepiej jest nie budzić go wcale; niech się samo obudzi, choćbyśmy musieli czekać na to i kilka godzin. W najgorszym razie budzić dopiero wtedy, jeśli medjum samo o to poprosi. W tym całym jednolitym, nieprzerwanym łańcuchu różnych kolejno następujących po sobie stanów snu można najlepiej robić spostrzeżenia różnych właściwości somnambulika. U medjów bardzo wrażliwych pojawiają się zwykle tylko dwa stany snu: 1. sen głęboki, który powoli rozprasza się i dochodzi do 2. snu jasnego (luicide), t. j. najistotniejszego snu somnambulicznego. To jest właśnie ów pośredni sen, którego nam potrzeba.

A więc nie należy dopuszczać do dalszego rozbudzania się medjum, utrzymując je ciągle w aktywności przyćmionej, lecz ani za bardzo, ani za mało, gdyż zaraz traci jasność, a potem możliwość odbioru.

Najlepszym sposobem, regulującym tę subtelną skalę odcieni głębokości snu, są głąski mesmeryczne, zwane też magnetycznymi, które należy robić wzdłuż ciała od głowy do nóg — i w odwrotnym kierunku. Jedne wpływają rozbudzająco, drugie usypiająco. Robiąc 2—3, najdalej 4 pociągnięcia przed oczami medjum (nie dotykając go) można otrzymać ten właśnie stan pośredniego snu, który jest nam potrzebny. Jeśliby głąski nie wystarczały, lepiej nie zajmować się już takim medjum w celu robienia prób transmisji myśli. Szukanie innych sposobów usypiania, a zwłaszcza różnych sposobów dla osiągnięcia różnych stanów snu, jest bardzo niedobre, gdyż stwarza sztuczne skojarzenia fizyczno-organiczne, t. j. złe przyzwyczajenia, które zupełnie zczasem mogą zdemoralizować, zdeorganizować medjum.

Nie leży to w moich intencjach, ani w celu obecnej pracy, przekonywać Czytelnika, że głąski wywierają specjalny wpływ sugestywny; podają tylko najstarszy, najlepszy, najbardziej znany i niezawodny sposób, zawsze pewny, a dla medjum nieszkodliwy.

Oprócz tego jest to sposób najłatwiejszy, gdyż może pogłębiać lub rozpraszać sen na niesłuchanie subtelną skalę stopniowania.

Gdy jest się już panem swego medjum, nie pozostaje nic innego, jak odnalezienie w niem tego momentu, w którym ono słyszy swego magnetyzera dobrze, lecz jeszcze trudno mu odpowiada.

Trzeba jednak i tu umieć poznać przyczyny trudności odpowiadania, które mogą być różne. Powodem tego może być poprostu skurcz mięśni głosowych, a tego nie potrzebujemy. Pożądaną jest trudność wpływająca z pewnego stopnia uśpienia mózgu.

W. Loga (Bombay)

Z cyklu „Duchowe oblicze Indyj“

„W krainie bogów, ludzi i zwierząt“

Fantastyczny ten tytuł, nadany jednej z powieści znanego podróżnika polskiego, F. Ossendowskiego, w szczególności nadaje się do Indyj, z jakiegokolwiek punktu widzenia pragnęlibyśmy opisać ten niezwykły kraj, jego niesamowite typy z mrowiska 350 milionów istnień ludzkich, jego ciekawą przyrodę żywą i martwą, tonącą w morzu podzwrotnikowego słońca.

Indje żyją faktycznie w stałej symbiozie, współżyciu i przenikaniu się tych trzech królestw.

Świat „bogów“ jest dla Hindusów, jak twierdzą sami, tak realny, jak dla nas „realne“ są: muzyka, piękno architektoniczne, dobroć, przyjaźń...

Tylko o ile my uczuciowe stany, wywołane temi bodźcami, przeżywamy rzadko, w momentach, że tak powiem, uroczystych, świątecznych nastrojów, Hinduś żyje w świecie ludzi i „bogów“ jednocześnie.

My żyjemy w teraźniejszości lub przyszłości — Hinduś żyje w wieczności. Hinduś przeciętny nie przyjmie posiłku bez zaofiarowania poprzednio pewnej jego części temu lub innemu bóstwu, czy duchom przodków lub przyjaciół. Hinduś nie rozumie życia bez medytacji codziennej, rano i wieczorem, podczas której łączy się on duchowo z nieobecnymi, żywymi lub umarłymi, ze światem pozazmysłowym.

Czy jest to atawistycznie odziedziczony pierwotny kult przodków, czy pogański politeizm, czy filozoficzny panteizm, nie będziemy tego rozpatrywali obecnie. W danym wypadku bowiem chodzi nam nie tyle o skreślenie psychologicznego obrazu duszy hinduskiego narodu, ile o szkieletowy, epizodyczny rysunek pewnych postaci, które wybiły się z szarego, olbrzymiego tłumu.

Pominiemy więc tutaj i szerszy opis niezmiernie łagodnego, powiem uczuciowego, traktowania zwierząt w Indjach. Charakterystyczny szczegół ten daje się zaobserwować na każdym kroku. Ptaki, zwierzęta nie boją się

tam człowieka. Hindus nie bije, nie dręczy zwierząt. W dzieciach nie można zauważyć nawet śladu upodobania w znęcaniu się nad bezbronem stworzeniem, co w Europie wśród młodzieży, niestety, znane jest w postaci „celowania do ptaków“, niszczenia gniazd i legowisk, lub w innych „dziarskich wyczynach“.

Obrazek wolnej przechadzki po chodniku wołu lub krowy w najruchliwszej części miljonowego miasta Kalkuty, lub wspólnego wypoczynku „tete-a-tete“ na publicznym placu człowieka i słonia, wielbłąda, wołu lub kozy — nie należy do rzadkości w Indjach, to też przygodny fotografator nie potrzebuje czekać długo na uwiecznienie takiej symbiozy.

Czasem Europejczycy, nie przyzwyczajeni do tego współżycia z „gadziną“, zdaje się ono co najmniej dziwne, a czasami jest źródłem drobnych nieporozumień i strachu. Autorowi niniejszej notatki zdarzyło się otrzymać pod Kalkutą gościnę w pokoju, do którego najspokojniej wchodził jakiś fantastyczny gad, pół jaszczurki — pół wiewiórki, skrzeczący, skaczący ze ściany na ścianę, z podłogi na sufit i odwrotnie. Na wyrażone obawy co do ukąszeń, gościnni gospodarze zapewnili, że to jest przyjaciel ludzi, polujący na śpiące komary, mrówki i że trzeba mu okazywać sympatię. Wobec takiego uspokojenia przestałem reagować na harce, wykonywane nad głową na rozwiniętym w nocy „baldachimie“ — kotarze z muslinu, chroniącej od komarów.

Ale dobre traktowanie zwierząt może być wytłumaczone względami utylitarnymi, ich użytecznością w gospodarstwie domowym i narodowym.

Ciekawszą, bo bezwzględnie bezinteresowną jest sympatja ludzi do świata roślin. Prawda, że niema bodaj na świecie wogóle narodu, któryby nie lubił, nie cenił lasów, drzew, kwiatów, nie otaczał roślin opieką, nie rozumiał ich symboliki. Ale chyba żaden naród nie poszedł w tej symbolice tak daleko, jak Hindusi. „Bez kwiatów lub owoców nie przestępuj progów żadnego domu w Indjach“ — oto pierwsza kardynalna wskazówka dla pod różniącego i źródła jego kłopotów. Zwyczaj piękny, zaiste, i świadczący o subtelności Hindusów.

Zdarzyło mi się nawet, że musiałem odłożyć wizytę w Santiniketan w rezydencji Rabindranatha-Tagore, li tylko z powodu braku odpowiednich kwiatów, symbolu przyjaznych uczuć, podziwu i sympatji.

Ale to znów temat dalszy, ogólniejszy.

Do uogólnień doprowadziłoby też porównanie narodu hinduskiego ze słynnym drzewem „banian“. W parku w Adyar, siedzibie T-wa Teozoficznego pod Madrasem, gdzie mieści się wspaniała biblioteka orjentalna, lub w ogrodzie botanicznym w Kalkucie, można podziwiać najstarsze bodaj na świecie okazy tego drzewa, którego lata liczą się nawet na tysiące. Banian z gałęzi wypuszcza pionowo zwieszające się pędy, które, dotarłszy ziemi, wrastają w nią i tworzą nowy pień.

Po kilku wiekach więc jedno drzewo zamienia się w rodzinę powiązaną ze sobą u góry gałęziami, słowem w las, składający się faktycznie z jednego drzewa, które wspiera się na dziesiątkach lub setkach pni.

Zaiste, widok niebywały i źródło refleksyj na temat dziwów przyrody i wiekistości Indyj.

Był i w Europie genjusz, który wnikał w życie i duszę roślin. Mam na myśli belgijskiego poetę Maeterlincka i jego słynne dzieło „Inteligencja kwiatów“.

Ale Hindusi poszli dalej: zaczęli szukać analogji pomiędzy życiem wewnętrznym roślin i zwierząt, poczęli porównywać fizjologiczne funkcje obydwóch światów. Wśród nich na czoło wysunął się słynny fizjolog i botanik, dziś autorytet uznany przez cały świat naukowy — Hindus Jagadish-Bose. Aby dokładnie zaobserwować, zmierzyć i sfotografować fizjologiczne funkcje roślin, Bose skonstruował przedewszystkiem kilkadziesiąt niezmiernie czułych instrumentów. Dla obserwacji uczniowie jego przeprowadzają specjalny trening duchowy, aby wysubtelnić swe zmysły.

Poza centralnem laboratorium w Kalkucie, do którego obecnie zjeżdżają uczeni z całego świata, Bose i jego uczniowie uciekają na parę miesięcy w góry, w Himalaje, aby być zdala od zgiełku, żyć życiem wewnętrznem przyrody, wyczuć jej rytm i z masy obserwacyj wyprowadzić syntetyczny wniosek.

Czyż więc dziwić nas może, że faktycznie Bose znalazł w roślinach narządy analogiczne do serca zwierząt i ludzi, że udowodnił istnienie przewodów nerwowych, reagowanie roślin na narkotyki i skonstatował inne cuda jedności mechanizmu życia?

Europejski podróżny, który miał okazję być w takim laboratorium, doprawdy staje oniemiały, nie tyle przed subtelными przyrządami, w których jednak jest zamknięty i genjusz techniki amerykańsko-europejskiej, ile przed temi mózgami hinduskich uczonych, którzy wyszukują J e d n o ś ć w różnorodności, zarzucają most pomiędzy przyrodą martwą a żywą, widzą wszędzie, na każdym kroku, jedyną myśl i rękę Stwórcy.

Staje on oniemiały wobec faktu, jak z tego politeistycznego napozór konglomeratu ludzkiego, z tej szarej masy, wylaniają się cudowne kryształ-y-postacie: Tagore, Gandhi, Bose, jak one pragną szerzyć odbłask chwały Jedyne go nie tylko wśród własnego narodu, lecz i w całej ludzkości.

Woda*)

*Jam woda rozlewna,
wszechchłonna, niezmierna —
zatapiam, wylaniam i spajam —
i rosą perlistą okrywam co rano
i mgły co wieczora oddaję — —
 Jeziora brzegami zakłęta, niemocna,
 strumieniem spienionym wypływam —
 falami rozkoszy brzeg morski zalewam
 i w głębie powracam stęskniona — —
Ja kocham Cię, Ziemi —
i wszystko, co Twoje
przenikam, oblewam i żywię — —
Ja rytmem swej kropli odmierzam istnienia —
ja we krwi Twej tętnię — Człowieku.*

W. G.

*) Z cyklu „Cztery Żywioły“.



Marja Florkowa

Po tamtej stronie...

Nowela.

Ciąg dalszy.

Powoli tracił świadomość miejsca. Droga była zupełnie inna od tej, którą przemierzał często swym wspaniałym wozem.

— Przed katastrofą — myślał — przysięgłbym, że zbliżam się do Krakowa, ale teraz — — cały świat odwrócił się do góry nogami: nad głową mam dziwną szarość, a u stóp bije strumień przedziwnego światła... Gdzie jestem właściwie?

Istotnie świat był jakiś inny: pola zasiane zbożem pławiły się poprostu w srebrnej jasności. Nad kłosami płonęła gloria, widziana na obrazach, wyobrażających postacie świętych. Średniowieczny prymityw zdawał się zapożyczać wzorów od natury: tylko, że była ona piękniejsza od wszystkiego, co można określić słowami, lub wymalować na płótnie. Marek nasycił wzrok, a zarazem i duszę. Palił się w nim zachwyty, graniczący z uwielbieniem.

— Święty chleb... święty chleb! — powtarzał drżącymi ustami. I ze wzruszeniem przypominał sobie, jak matka jego nakazywała mu czcić chleb i każdy okrucieństwo chronić przed zdeptaniem.

— Czyżby widziała to, co ja dziś widzę? — myślał wzruszony. I spokojna twarz matki, przywołana wspomnieniem, wykwitła nagle przed nim, jak żywa. Złudzenie było tak wyraźne, że przystanął i rozwarł szeroko ramiona, jakby tę ukochaną a dawno utraconą opiekunkę chciał teraz przygarnąć do serca.

Obłok mgły, osłaniający twarz matki, zadrżał, zapłonął zygzakami ognia i — zmaterializował się w wiotką, zwiewną postać kobietę. Marek miał pełne łez oczy; serce, ogarnięte uczuciem szczęścia, dawało się rozszerzać i tętnić w nim całym. Uśmiech drogiej twarzy był tak słodki, tak rzewny i pełen miłości, że Marek ukląkł nagle na środku drogi, jakby gotował się do przyjęcia komunii... Zjawa matki pochyliła się nad nim i uczył delikatne dotknięcie ciepłych i wonnych, jak róże, ust... Zamknął oczy, tuląc się, jak kiedyś, gdy był dzieckiem, do jej piersi.

Wtem szarpnął nim niepokój. Otworzył oczy i — z przerażeniem spostrzegł, że wprost na niego pędzi auto z szaloną szybkością. Przestrach sparaliżował go. Cień matki zniknął i żal za nią ogarnął duszę Marka. Szary cień otoczył go tak nagle, jakby się gęsty dym uniosł z pod jego stóp, a auto pędziło i olbrzymiało z każdym uderzeniem serca.

I — rzecz najdziwniejsza: maszyna bez zwolnienia tempa przebiegła jak błyskawica i zniknęła w tumanach kurzu. A Wolski klęczał dalej na środku drogi — bez żadnego urazu, czy potęczenia nawet.

— Wóz przebiegł przecież przeze mnie i — pojechał dalej — ze zdumieniem stwierdził Marek. — Czy ja jestem powietrzem, czy maszyna była dziwnym upiorem?

Tego pytania nie mógł rozwiązać. Był tak wzruszony niepojętem zdarzeniem, że na chwilę zapomniał o cudnych kwiatach, świecących jak płomyki na brzegu szosy, nie widział świętych łańców zboża, drgających od złotych iskier, jakby słońce rozpylało deszcz płonących kropli na smukłych a ciężkich kłosach. Włókł się powoli naprzód, a uczucie przykrego zdumienia, jakiego doznawał, obarczało go dziwnym ciężarem. Dawna lotność zginęła bez śladu, nogi zdawały się grzęznąć w lepkiem mule, a na ramionach czuł ucisk niewidzialnego ciężaru.

— Dziwna rzecz — stwierdził — moje myśli ważą dziś jak materialne ciężary, a moje ciało wydaje się być zupełnie pozbawione wagi...

Od miasta, w kierunku którego szedł, zbliżała się kobieta z dzieckiem na rękach. Czyniła wrażenie żebraczki, ale Marek ucieszył się na jej widok: zbliża się nareszcie ktoś, kto go objaśni, w jakim odcinku drogi znajduje się obecnie!

Krok jego stał się znów żywszy i dawna lekkość przenikać zaczęła ciało. Z uśmiechem podszedł do kobiety:

— Dobra gosposiu, czy daleko jestem od Krakowa?

Żebraczka przeszła mimo, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na Wolskiego. Jej leniwy krok świadczył o wyczerpaniu fizycznym, a z ubrania i całej postaci wybiegały dziwne promienie o zabarwieniu mętnej i to dziwne zjawisko przygwoździło nagle Marka na miejscu.

— Jakimże ja halucynacjom ulegam dzisiaj? zastanowił się nagle.

Poczem jął doganiać kobietę. Nie odeszła daleko. Po kilkunastu krokach zrównał się z nią i zawołał:

— Hej, kobiecinko! skądże to idziecie taka zmęczona?

Nie odwróciła głowy, nie zdawała się go nawet dostrzegać obok siebie. Szła dalej, jak automat, przyciskając blade, może chore śmiertelnie dziecko do piersi.

Marek przeraził się. — Czy ta kobieta jest widmem bez czucia, że po raz drugi nie odpowiada na pytanie? Aby zmusić żebraczkę do jakiegokolwiek odpowiedzi, chwycił jej ramię i zaczął niem potrząsać, jak to czasem czynił, chcąc zbudzić kolegę z twardego snu. Ale i ten, nieco zuchwały krok, nie dał rezultatu. Idąca nie odwróciła głowy, nie zdradziła najłżejszym gestem, że odczuwa napaść Wolskiego. Tylko dziecko zbudziło się nagle i spojrzawszy z przerażeniem na Marka, zaczęło krzyczeć nieznośnie.

Kobieta pochyliła nad niem zalaną łzami twarz:

— Boli, czy znowu boli? — zapytała ciepło, całując złotowłosą główkę.

Ale dziecko, zamiast odpowiedzi, ukryło twarzyczkę w łachmanach matki i zanosilo się od płaczu.

— Cicho, o! cicho maleńki! — uspokajała kobieta, głaszcząc płowe loki i dziecko milkło zwolna, jakby zapadając w sen. Marek szedł obok, nie śmiejąc już dotknąć kobiety, a nie chcąc rozstać się z tym jedynym człowiekiem, który mógł mu udzielić cennych wskazówek. Ze zdumieniem zauważył tylko, że, gdy kobieta tuliła swe maleństwo do serca, z całej jej postaci były jasne promienie o barwie różowawo-złotej i one to, skupiając się nad główką dziecka, działały na nie kojąco. Po chwili dziecko podniosło znów głowę, a ciekawie rozwarte oczęta szukać zaczęły Marka. Gdy go znalazły, nowy atak płaczu rzucił przerażone maleństwo na piersi kobiety. Ta stanęła zdumiona, oglądając się z niepokojem wokoło. I wówczas stwierdził Marek ze zgrozą, że wzrok żebraczki przechodzi przez niego, szukając dalej! Był zatem dla jej oczu niewidzialny, a jednak, jednak dziecko widziało go i krzyczało, zapewne ze strachu, na jego widok!...

Cóż za straszliwe zmiany dzieją się z nim i wokół niego od rana? Aby nie straszyc swoim widokiem dziecka, pozostał na środku drogi, i kobieta powlokła się dalej. Marek czekał teraz na innego przechodnia; palił go niepokój, przede wszystkim chęć zrozumienia własnej, dość niejasnej, a mocno — jak mu się zdawało — głupiej sytuacji! Wreszcie zobaczył grupę ludzi. Szli od strony, gdzie zniknęła żebraczka.

— Zatem dążą do miasta — pomyślał Marek i postanowił przyłączyć się do nich.

Rozmawiali żywo i z przejęciem. Byli to prawdopodobnie robotnicy, jak wskazywał ubiór i oparte na ramionach siekiery.

— Bądź tu panem i jeździj sobie „maszyną“ — mówił jeden, — ani nie zipniesz i już po tobie!...

— Ano — rzekł drugi — takim bogaczom to i śmierć łaskawsza. Raz! dwa! buch na łąkę i koniec. Zanim co zaboli, już cię niema! A biedny człowiek, co to się musi przed śmiercią namęczyć!

— Już ja tam wolę umierać na łożku — rzucił inny. Co mi to za łaska zdechnąć, jak ten pies przy drodze!

— Eh, może jeszcze za wcześnie równacie go z umrzykami — rzekł najstarszy, — ten doktor z drugiego auta mówił przecież, że nic nie wiadomo, a że ciepły był jeszcze, kto wie, czy go nie odratują. Nie biedny on tam, to już znajdują się tacy, co go kostusi wydra! Ho! ho! bogaty to i w piekle opiekuna znajdzie...

Marek słuchał i dziwił się. Cóż to oni mówili o aucie i jakimś zabitym? Nagle odżyła pamięć: przecież to on zdruzgotał maszynę, a tam na łące został jakiegoś człowieka śpiącego... kto wie, może potracił go autem i biedak stracił przytomność? — —

Zaprzagnął wyjaśnień od robotników, ale powtórzyła się historia z żebraczką: nie widzieli go i nie słyszeli! Krzyczał do nich, a oni rozmawiali dalej, jakby nawet brzęk skrzydeł komara nie dochodził ich uszu...

Nagle jeden z nich zawołał:

— O! wiozą go! wiozą!

I rozbiegli się na dwie strony: środkiem przemknęła ta sama limuzyna, która o mało nie stratowała przedtem Wolskiego. Jakiś przedziwny wir za-

garnął Marka i — nawet nie czuł, że dziwna siła niesie go szybko — i coraz szybciej naprzód...

Teraz już nie miał wątpliwości: zbliżał się do Krakowa. W jasnych promieniach słońca majaczyła w dali złota korona na smukłej, marjackiej wieży...

Ale widok miasta był groźny. Gdyby nie najdziwniejsze doświadczenia, jakie przeżył od rana, byłby przerażony naprawdę. Miasto zdawało się płonąć; ale zamiast jasnego ognia, kłęby szarych, brudnych dymów wlokły się nad dachami domów; widok był tak ponury, że Marek odwrócił głowę i szukał z tęsknotą widoku dalekich łąnów, pokrywających wsie i pobliskie wzgórza. Tu było coś niebiańskiego, radosnego i czystego zarazem, a tam — nad tysiącem domów i ulic wisiała ponura mgła, jak wyziew otchłani. Smutek szedł od niej i groza czegoś tajemniczego a bolesnego, jakby woń rozkładającego się trupa... Tylko dalej, tam, gdzie wawelskie wzgórze kilku wieżycami strzelało ku niebu, przerywały się mgły, a jasny błękit rozświetlały promienne błyskawice, krzyżujące się wgórze i wdół nad królewską katedrą.

Marek stanął olśniony. Czegoś równie pięknego nie widziały nigdy jego oczy:

To, co świetlną, srebrzystą mgłą jaśniało nad łąnami zbóż, tutaj spotęgowane, wibrujące siłą i życiem, płonęło, niczem słup ognisty, biegnący wprost ku niebu. A w nim, jak miliony gwiazdeczek, drgały błękitne i liljowe iskry, rozsypując się bogatą kaskadą nad Zamkiem i całym królewskim wzgórzem.

Marek odsonił głowę i trwał w zachwycie: mijali go ludzie, których nie widział, bo oczy jego chłoneły cud rozwartego nieba. Inaczej nie mógł nazwać tego blasku, i tej niewyrażalnej piękności, która jawiła się, jak zwid najcudniejszy ponad mętne zwałami burych, cuchnących dymów.

— Oto »święte świętych«! — szepnął ze wzruszeniem i po raz drugi miał ochotę uklęknąć wśród pyłu szerokiej drogi.

— Po raz pierwszy widzi pan tę światłość, prawda? — posłyszał nagle dziewczęcy głos.

Odwrócił oczy i zdziwił się jeszcze więcej. Przed nim stała młoda panienka o słodkich oczach i dziecinnej twarzyczce.

— Jakto? pani mię widzi! — zawołał wzruszony.

Uśmiechnęła się nieco zagadkowo.

— Jest pan tem nieco zdziwiony — zauważyła — no, tak... gdy się przechodziło przez ludzi i auta, gdy się krzyczało, a nikt nie słyszał — —

— Skąd pani wie? skąd wie tak dokładnie to wszystko? — —

— To takie proste: stwierdziłam na samej sobie...

— Czyżby i pani!?!...

— Tak, i ja znajduję się, zarówno jak i pan, już „po tamtej stronie“.

— „Po tamtej“? Nie rozumiem. Czyż istnieje jakaś ta i tamta strona?

Panienka spojrzała na niego bystrzej i posmutniała:

— Ach, pan jeszcze nie wie — — —

— O czem nie wiem?

— Że są takie „różne“ strony, „tamte i te“, gdzie się widzi, czego prawdziwi ludzie jeszcze nie widzą, a nie może się już być tem, czem się było...

Marek słuchał i nie rozumiał nic, ani słowa. Ale towarzysząca była tak piękna i tak pociągająca, że, by jej nie utracić, nie pytał o nic więcej. Wyciągając tylko rękę, rzekł ciepło:

— Jestem Marek Wolski i — tak mi miło niezmiernie, że u progu Krakowa, którego prawie nie znam, spotkałem panią!

Uśmiechnęła się.

— Widocznie będę panu potrzebna, kiedy moi Przewodnicy „odwołali mnie“ właśnie teraz, by tobie, Marku, postawić na drodze. Jestem... Halina Sławska.

Wolski uczył mocne bicie serca:

— „Tobie Marku“ — jakże ona to pięknie powiedziała! — pomyślał. I by zatwierdzić niejako ten niezwykły sojusz ich dwojga, odparł niemniej swobodnie:

— Będziesz mi konieczną — Halino, sam zbłądziłbym napewno, a w najlepszym razie naraził się na wiele przykrości. Ty mi pomożesz, prawda?

— To zdaje się moje zadanie obecne — rzekła trochę smutno. A że słuchanie innym przyjęłam oddawna za swój obowiązek, i teraz nie zostawię cię samego. Dokąd pragniesz się udać?

— Wszystko jedno, byle nie rozstawać się z tobą! — Chciał odpowiedzieć — ale ogarnął go lęk, że taka zuchwałość urazić może dziewczynę, więc tylko odparł:

— Rozbiłem w drodze auto i teraz jestem zupełnie bezradny: co począć z sobą? Mieszkam stale w Warszawie, ale — nie chciałbym tam tak zaraz wracać...

— Ach — więc rozbiłeś auto! — rzekła dziwnym tonem Halina. Tak, to się zdarza... a potem wogóle trudno zdać sobie sprawę, co się jeszcze ponadto stało...

Znów jej nie rozumiał, ale nie podtrzymał tematu. Było mu nieśtychanie dobrze w jej towarzystwie i tylko jej obecność miała wartość dla niego. O nic pozatem nie dbał. Dlatego ująwszy delikatnie jej dłoń, zapytał nieśmiało:

— Może pójdziemy ku miastu?

— I ku tej cudnej światłości? — dobrze. Wiele będziesz tu miał do zobaczenia i — zrozumienia — rzekła ciepłym, serdecznym głosem.

Teraz zdawało mu się, że już nie idzie, a płynie nad drogą. Radość uskrzydlała mu ramiona. Po raz drugi rozumiał, że waga jego ciała zmieniała się zależnie od nastroju: gdy czuł się dobrze, unosił się lekko w powietrzu, ale gdy strach lub smutek ogarniały mu duszę, ciężar tłoczył go ku ziemi i z ogromnym wysiłkiem posuwał się naprzód.

Spojrzał na Halinę. Szła — a może płynęła tylko koło niego zwiewnie i lekko. Promienne oczy utkwione miała w światłości, bijącej ze wzgórza Wawelu. I pomyślał wówczas, że tak wyglądać musiała Beatrice, gdy wiodła Dantego poprzez smutne kręgi czyścica ku wielkiej i świętej jasności Nieba. Z ufnością powierzył się jej opiece.

C. d. n.

Dzieła Sédira

Ceny bez kosztów przesyłki.

WTAJEMNICZENIA, powieść dla „Maluczkich“	3.— zł
SILY MISTYCZNE I SPRAWOWANIE ŻYCIOWE	2.50 „
WYKŁADY EWANGELIJ Tom I (Lata Dziecięce Chrystusa)	2.50 „
„ „ Tom II (Kazanie na Górze)	2.50 „
UZDROWIENIA CHRYSZTUSA	6.— „
ENERGJA ASCETYCZNA	0.50 „
O BOWIĄZEK DUCHOWY	0.50 „
SIEDEM OGRODÓW MISTYCZNYCH	1.— „
O PRAWDZIWEJ RELIGJI	0.30 „
KSZTAŁCENIE WOLI	1.— „
DROGA PRAWDZIWA DO BOGA PRAWDZIWEGO	0.70 „
KSIĘGA CZUWANIA	1.50 „
KILKU PRZYJACIÓŁ BOGA	2.— „
EWANGELJA I PROBLEMAT WIEDZY	0.50 „
PRZYJAŹNI DUCHOWE	0.25 „
TRZY ODCZYTY (Chrystus Syn Boży — Kochaj bliźniego swego — Mistycy w społeczeństwie współczesnym) — z portretem autora	1.— „

Wydawnictwa Spółdzielni Wydawniczej „Adyar“ w Warszawie

(Ceny znacznie niższe.)

Alcyone:	Źródło Mistrza	0.50 zł
Dr. Arundale:	Droga służenia	0.25 „
A. Besant:	Potęga myśli	2.— „
—	Wtajemniczenie	2.— „
Chatterji:	Filozofja ezoteryczna Indyj	1.— „
I. Cooper:	Reinkarnacja	2.— „
A. Blech:	Tym, którzy cierpią	1.— „
Jinarajadasa:	W Imię Jego	0.25 „
—	Czego nauczać będziemy?	0.25 „
Leadbeater:	Człowiek we wszechświecie	1.— „
V. d. Leeow:	Bogowie na wygnaniu	1.— „
E. Wood:	Koncentracja	1.— „
Przegląd Teozoficzny, cały komplet — 18 numerów		2.— „
„ „ pojedynczy numer		0.20 „
Myśl Teozoficzna, komplet — 4 numery		2.— „
„ „ pojedynczy numer		0.75 „

Do nabycia także w Administracji „Lotosu“ — Kraków, ul. Grodzka 58.

Nowy cennik wydawnictw

z zakresu wiedzy ezoterycznej

Ewolucja ludzkości (Antropogeneza okultystyczna) K. Chodkiewicz	7.50
Droga w światy nadzmysłowe (Radżajoga nowoczesna) J. A. S.	3.80
Glossarjusz okultyzmu (Encyklopedia) A. Gleic	3.40
Zioła lecznicze (Medycyna hermetyczna, astrologia herbalna, botanika okultystyczna) J. H. Głóg — zes. I	2.50
Dusza i jej narzędzia (Rola gruczołów hormonalnych w psychice ludzkiej) A. Bailey	3.—
Kryptostezja , czyli o różnych formach nadnormalnego poznania — St. Kowalski	1.—
Narodziny Świata (Kosmogonja okultystyczna) — K. Chodkiewicz	1.—
Wiedza duchowa a wychowanie — K. Chodkiewicz	0.30
Religja Ryszarda Wagnera — Tomira Zori	0.60
Ukryta potęga muzyki (leczenie muzyką) — Tomira Zori	1.—
Anatomja Ciał Niewidzialnych Człowieka — K. Chodkiewicz	0.60
Theophrastus Paracelsus — W. Mirski	1.20
Listy z Zaświata — W. T. Stead	1.25
12 Typów ludzkich w astrologji — Fr. A. Prengel	1.50
Jarska kuchnia witaminowa — Dr. Breyerowej	4.—
Świat mego ducha (Wizje przyszłości) — St. Ossowiecki	9.—
Życie po śmierci — Leon Denis	4.25
Medjumizm a Biblia — Leon Denis	0.60
Przeciw śmierci — Mulford	6.00

W. J. Kryżanowskiej (powieści okultystyczne):

GNIEW BOŻY (2 tomy)	1.60 zł za tom, zamiast 5.— zł
PRAWODAWCY (2 tomy)	„ „ 5.— „
ŚMIERĆ PLANETY (2 tomy)	„ „ 5.— „
MAGOWIE	1.60

Dr. med. St. Breyera:

Z POGRANICZA ZAŚWIATÓW	1.90 zł zamiast 4 zł
ZAGADKA CZŁOWIEKA	1.80 „ „ 4 „
RELIGJA ABSOLUTNA	1.60 „ „ 4 „

Koszta przesyłki ponosi zamawiający.